ROK I.
NUMER 3

ŻYCIE ŚWIADOME

PAŹDZIERNIK
1936

KWARTALNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM REFORMY SEKSUALNEJ I OBYCZAJOWEJ

Eugenika — regulacja urodzeń — polityka ludnościowa — reforma prawa małżeńskiego — ochrona matki i dziecka — walka z prostytucją — reforma wychowania

TREŚĆ:

Prof. U. P. dr Henryk Ułaszyn — O reformę prawa małżeńskiego

Doc. U. J. dr Eugenia Stołyhwowa — Z zagadnień krzyżowania ras ludzkich

Maksymilian Boruchowicz — Czy nie czas skończyć z frazesem o „życiu ułatwionym"?

Ludwik Szczepański — Narzeczeni

Dr Paweł Klinger — Sterylizacja mężczyzn

Inż. Henryk Jasieński — Bałamuctwo i banały

Dr André Morin — Sytuacja prostytutki we Francji pod względem prawnym

Karol Müller — Prostytucja w Krakowie (reportaż)

Józef Litauer, adwokat — Smutny jubileusz

Doc. U. J. dr Wiktor Ormicki — W sprawie naukowych podstaw polskiej polityki ludnościowej

Z półki księgarskiej — Ginekolog na rozdrożu; „Naturalna" regulacja urodzeń; O niekaralność przerywania ciąży; Sprawy drażliwe; Życie seksualne rodziców a dzieci

Echa — Pani Parylewiczowa; Krzyk pokolenia; Hitleriana

Listy — Dziwna deklaracja

CENA 1·— Zł

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

DR TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI (Warszawa)
PROF. U. J. DR ODO BUJWID (Kraków)
DR JÓZEF KIRSCHNER (Kraków)
IRENA KRZYWICKA (Warszawa)
MIECZYSŁAW STEINBACH (Kraków)
LUDWIK SZCZEPAŃSKI (Kraków)
DR ZOFIA ŚLĄCZKOWA (Kraków)
EMIL ZEGADŁOWICZ (Wadowice)
Redaktor naczelny: DR ODO BUJWID, prof. Uniw. Jagiell.
Red. odpowiedzialny: MIECZYSŁAW STEINBACH, lekarz

Redakcja i Administracja — Kraków, Dunajewskiego L. 7.

Sekretarz redakcji przyjmuje we wtorki i czwartki od godz. 19·30 do 20·30

Cena pojedynczego egz. 1·— zł
W prenumeracie rocznej 3·40 zł

Prenumeratę i wszelkie przesyłki pieniężne uprasza się przesyłać czekiem P. K. O. pod adresem: Towarzystwo Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów — Kraków — nr 405.424.

Nakładem Towarzystwa Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów, Kraków, Dunajewskiego 7.

Drukarnia Literacka, Kraków, Plac Zgody 4.

Rok I. Październik 1936 Nr 3.

Życie Świadome

Kwartalnik poświęcony zagadnieniom
reformy seksualnej i obyczajowej

Prof. U. P. dr HENRYK UŁASZYN

O reformę prawa małżeńskiego

Nie zabieram głosu ani jako teolog, ani jako prawnik, nie jestem bowiem ani teologiem, ani prawnikiem. Zabieram natomiast głos jako humanista z jednej strony, a obywatel miłujący swą ojczyznę — z drugiej.

Zabieram więc głos jako humanista, który w imię zasady **homo sum, humani nil a me alienum puto** — chciałby się przyczynić do pomyślnego rozwiązania pewnego problematu kulturalnego wzgl. cywilizacyjnego, mianowicie problematu prawa małżeńskiego w Polsce, w myśl ogólnego dobra, w myśl ogólnych tendencyj rozwojowych współczesnych najbardziej kulturalnych, cywilizowanych krajów Europy.

I zabieram też głos jako obywatel, który, kierując się dobrem i godnością własnego państwa i narodu — chciałby się przyczynić do takiego rozwiązania wspomnianego problemu, iżby państwo polskie nie stało na szarym końcu w szeregu państw kulturalnych Europy.

Mam więc zamiar przedstawić problemat prawa małżeńskiego w Polsce od strony kulturalnej, cywilizacyjnej, a nie teologicznej lub prawniczej. Chodzić mi zatem przedewszystkiem będzie o przedstawienie stanu prawa małżeńskiego u nas w porównaniu z pozostałemi państwami Europy.

Dwie Europy: zachodnia i wschodnia

Europa z punktu widzenia historyczno-kulturalnego, t. j. tradycyjnego podłoża kulturalnego, który dla czasów dawniejszych identyfikował się ze światopoglądem religijnym wzgl. wyznaniowym — dzieli się na dwa światy: zachodni i wschodni. Linja, dzieląca te dwa zasięgi kulturalno-religijne, biegnie przez Polskę z północy na południe. Na zachód od tej linji, wyłączając na południu półwysep bałkański z przyległemi terytorjami, będą się znajdowały państwa o typie kulturalnym zachodnio-

europejskim, z których niektóre świat cały uważa za właściwych twórców najwyższej kultury i cywilizacji w ostatniem conajmniej tysiącleciu. Państwa na wschód od tej linji, włączając półwysep bałkański z przyległemi terytorjami — to będą państwa, uważane ogólnie za państwa o kulturze i cywilizacji niższej w przeciwstawieniu do tamtych, zachodnich. Będą to państwa o typie kulturalnym wschodnio-europejskim, bizantyjskim. Świat zachodni charakteryzuje stopniowe wyzwalanie się z więzów tradycjonalnego światopoglądu wyznaniowego, skonstruowanego w średniowieczu, t. j. uświecczanie życia kulturalnego, a przeto i jego uduchawianie przez rozsadzanie ram wyznaniowych, formułek dogmatycznych. Świat wschodni charakteryzuje uparte trzymanie się więzów tradycjonalnych, bizantyjskich, koncentracja życia duchowego w ramach wyznaniowych, dogmatycznych. Stąd zastój szerszego życia kulturalnego, cywilizacyjnego i uleganie prądom świata zachodniego drogą przeważnie świecką, kultury przedewszystkiem materjalnej. Orjentując się według tej linji rozdzielczej, otrzymamy tło do porównań — do plusów i minusów kulturalnych.

Już z takiego postawienia sprawy widocznem jest, iż chodzić mi będzie nie o przeprowadzenie jakiejś własnej tezy czy teorji, lecz, że chodzić mi będzie przedewszystkiem o zobrazowanie faktycznego stanu rzeczy, t. j. danie odpowiedzi na pytanie: jak się przedstawia prawo małżeńskie wzgl. jego typy w poszczególnych państwach Europy, a u nas. Chcę więc właściwie dostarczyć tylko materjału, odpowiednio sklasyfikowanego, by tem umożliwić każdemu, interesującemu się tym problematem, wyciągnięcie własnego wniosku. W łączności z tym wnioskiem wyniknąć musi i pewne nastawienie wobec rozwiązania — takiego lub innego — danego problematu społeczno-państwowego. A jest ono niezbędne wobec konieczności przeprowadzenia u nas reformy prawa małżeńskiego, to bowiem stadjum, w jakiem się prawo małżeńskie w Polsce obecnie przedstawia — jest wprost horendalne, kompromitujące państwo nasze. Chaos w tej dziedzinie jest niebywały, niespotykany w tym stopniu w żadnem innem państwie Europy.

Pięć praw małżeńskich w Polsce

Polska mianowicie — jak wiadomo — pod względem ustawodawstwa małżeńskiego przedstawia istną „mozajkę": mamy nie mniej i nie więcej jak pięć praw małżeńskich, a więc:

1) Województwa zachodnie: pomorskie, poznańskie, śląskie — z pod dawnego zaboru pruskiego, mają najbardziej postępowe prawo: obligatoryczne, t. j. obowiązkowe śluby cywilne.

2) Do powyższego typu zbliża się prawo małżeńskie, z którego korzysta ludność na dwu niewielkich terytorjach, które należały dawniej do Węgier, t. j. na Spiszu i Orawie. Tu również mamy obowiązkowe śluby cywilne, zresztą dziś zmienione na fakultatywne.

3) Województwa południowe, czyli b. Galicja Zachodnia wraz z Cieszyńskiem, oraz Wschodnia — zatem ziemie z pod dawnego zaboru austrjackiego. Tu mamy prawo mniej postę-powe od poprzednich: śluby są tu kościelne, ale jurysdykcja, t. j. rozłączanie, jest świeckie, uzyskiwane w sądzie cywilnym, a nie konsystorskim, kościelnym.

4) Województwa centralne, t. zw. Królestwo Polskie Kon-gresowe, zajmujące wielkie obszary — oraz

5) Województwa wschodnie, t. j. t. zw. ziemie zabrane, zajmujące również wielkie obszary.

Te dwa ostatnie obszary to właściwie 4/5 całej Polski. Otóż na tych obu obszarach śluby i juryzdykcja są jednakie — znaj-dują się wyłącznie w rękach kościoła: duchowieństwo daje ślub; ono też udziela separacyj i unieważnień wzgl. rozwodów. Do-piero skutki juryzdykcji duchownej — sprawy majątkowe — różnie ujmuje prawo małżeńskie województw centralnych, a wschodnich. Tu więc na tych wielkich obszarach mamy w za-kresie prawa małżeńskiego bezwzględne panowanie prawa ko-ścielnego, kanonicznego. To najbardziej kulturalnie zacofane prawo.

A zatem mamy na ziemiach państwa polskiego pięć róż-norakich prawodawstw małżeńskich. Jeśli się zwróci uwagę — pomijając już okoliczność, że sama ilość tych praw w państwie jest czemś absurdalnem — jeśli się więc zwróci uwagę, że ten stan rzeczy narusza właściwie integralność państwa, że wytwa-rza chaos i demoralizację, stwarzając pomyślne warunki do „le-galnych" nadużyć prawa — to stwierdzić należy, że jest to stan rzeczy w państwie naszem wielce ubolewania godny, i że w mo-żliwie najbliższym czasie winnoby nastąpić jego ujednostajnie-nie, przeprowadzone w tym kierunku, iżby odpowiadało wymo-gom współczesnego życia kulturalnego i godności naszego państwa.

Trzy typy prawa małżeńskiego w państwach chrześc. Europy: religijny, cywilny i mieszany

Przechodząc teraz do właściwego tematu, rozpatrzmy się w systemach, a właściwie w typach prawa małżeńskiego, spotyka-nych w państwach chrześcijańskich Europy.

Spotykamy się tu mianowicie, biorąc rzecz z gruba, z trze-ma typami. A więc przedewszystkiem z dwoma kontrastującemi ze sobą: z typem religijnym, wyznaniowym, kościelnym oraz z jego przeciwieństwem — z typem cywilnym, świec-kim. Pozatem spotykamy się jeszcze z typem trzecim: miesza-nym, kompromisowym, składającym się z elementów dwuch poprzednich.

Przyjrzyjmy się im bliżej.

Typ pierwszy — religijny, wyznaniowy, koś-cielny. — Państwo uznaje małżeństwo za instytucję religijną: pozostawia zatem władzy kościelnej zarówno autonomję jak

i juryzdykcję, t. j. sądownictwo w sprawach małżeńskich: wyłącznie prawo kanoniczne, kościelne rozstrzyga o ważności małżeństwa zawartego oraz o jego rozwiązalności (separacja, unieważnienie). Duchowny zatem daje ślub; konsystorz też duchowny decyduje o rozwiązaniu. Duchowny wydaje metrykę, on też wydaje akt unieważniający małżeństwo. Duchowny jest zatem zarazem urzędnikiem stanu cywilnego.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa obrządek, identyfikowany dziś z sakramentem małżeństwa, nie był uważany za sakrament. Było to tylko błogosławieństwo nupturjentów. Nie zna małżeństwa jako sakramentu w dzisiejszem znaczeniu i św. Augustyn; ma on dla niego tylko charakter sakramentu; święcenie wody, kredy i t. p. nazywa tym samym terminem: **sakramentum.**

Ten stan rzeczy najdawniejszy stwierdza nie tylko nauka, lecz stwierdzają to również i teologowie katoliccy. Jest to rzecz zresztą już powszechnie znana. Dla przykładu więc tylko przytoczę dwuch autorów: profesora paryskiej Ecole de Théologie, jednego z najznakomitszych historyków kościoła, Monseigneur'a ks. Ludwika Duchesne'a († 1922), w którego klasycznem dziele p. t. „Origines du culte chrétien" (Paris [1889], 3 wyd. 1903) czytamy: „Błogosławieństwo (udzielone przez duchownego) było rzeczą zwyczaju, konwenansu... Małżeństwo (t. j. jego ważność) było niezależne od obrzędu" *); lub profesora prawa kanonicznego na Uniwersytecie Wileńskim, ks. Bolesława Wilanowskiego, autora cennej pracy p. t. „Prawo małżeńskie kościoła rzymsko-katolickiego" (Wilno 1928; str. 136). Podkreślam raz jeszcze: małżeństwo i bez owego błogosławieństwa było ważnem; a dodać jeszcze należy, że błogosławieństwo to większe miało znaczenie właśnie na Wschodzie, a nie na Zachodzie (por. tegoż ks. Wilanowskiego „Prawo małżeńskie". Skrypt; wyd. Koła Prawników Studentów U. S. B. [Wilno 1931], str. 15).

Dopiero omal w 1000 lat po Chr., gdyż dopiero w wieku IX błogosławieństwo to staje się obrzędem obowiązującym. Ale wciąż jeszcze tylko obrzędem błogosławieństwa. Właściwie aż do połowy XII wieku prawo kanoniczne przedstawiało według tegoż ks. Wilanowskiego „chaos" (tamże, str. 8). Dopiero od połowy XII wieku zaczyna ulegać systematyzacji. W wieku XII Piotr Lombard († 1164) zdołał wreszcie stworzyć taką definicję sakramentu, że sakramentami nazywać zaczęto tylko te

---

*) Oto odnośny ustęp w oryginale: „Tertullien relève la félicité du mariage, que l'Eglise concilie, que l'oblation confirme, que scelle la bénédiction, que les anges proclament, que le Père céleste ratifie. Beaucoup d'autres anciens auteurs parlent aussi de mariages célébrés devant l'Eglise et bénis par elle avec plus ou moins de solennité. Cependant aucune loi ecclésiastique n'obligeait les chrétiens à faire bénir leur mariage. La bénédiction était affaire de coutume, de convenances; elle finit par passer en règle, mais sans devenir jamais une condition de validité. Le mariage est indépendant du rite" (str. 428).

obrzędy, które uświęcają **ex opere operato.** Nie wszyscy jednak teologowie na to się godzili, np. szkoła franciszkańska. W każdym razie z wzmacnianiem się kościoła katolickiego, z rozrostem doktryny kościelnej, to błogosławieństwo małżeńskie identyfikuje się w średniowieczu z sakramentem. Ostateczną formułę dogmatyczną pogląd ten teologów rzymsko-katolickich znalazł dopiero w uchwałach Soboru Trydenckiego w wieku XVI (1545—1563). Wówczas to dopiero dogmatycznie uznano małżeństwo za sakrament, grożąc anatemą tym, którzyby małżeństwa za sakrament nie uważali *).

W ten sposób dopiero od połowy X wieku do wieku XVI ustawodawczo i jurysdykcyjnie, sądowniczo, sprawy małżeńskie należały już wyłącznie do władz kościelnych. Uznanie zaś małżeństwa za sakrament w formie dogmatycznej, spowodowane zostało tem, że w epoce Reformacji nastąpił w tym własnie zakresie konflikt kościoła z państwem. Kościół, starając sie utrudniać szerzenie Reformacji, nie chciał uznawać ślubów mieszanych katolików z ewangelikami, którzy małżeństwa, zgodnie z tradycją, za sakrament nie uważali; państwa wszakże wzięły ewangelików w opiekę — i w ten sposób powstały ponownie śluby cywilne, t. j. przed urzędnikiem stanu cywilnego zawierane. Innemi słowy państwo w XVI wieku z powrotem odzyskiwać poczęło wpływ na instytucję małżeństa, ten właśnie wpływ, który dawniej przed połową wieku X państwo posiadało, nim zagarnął je był wyłącznie pod swoją władzę kościół rzymski. Od XVI więc wieku kościół stopniowo traci na Zachodzie wpływ na instytucję małżeństwa — traci zarówno władzę ustawodawczą jak i jurysdykcyjna. W ten sposób w ciągu wieku XVII i następnych prawo małżeńskie stopniowo przechodzi z rąk kościoła w ręce władzy państwowej.

W epoce Wielkiej Rewolucji francuskiej unicestwiono ostatecznie władzę kościoła w tej dziedzinie: od tego czasu szerzyć się poczęły na Zachodzie obowiązujące śluby cywilne (n. p. we Francji od r. 1792, w Anglji — 1836, w Prusach — 1847 („Notzivilehe"), we Włoszech — 1870, w Prusach — 1874, w Niemczech — 1875, w Szwecji — 1908 i t. p.).

D r u g i zatem typ prawa małżeńskiego, kontrastujący z pierwszym — to prawo małżeńskie c y w i l n e. Zawarcie małżeństwa odbywa się tu przed urzędnikiem stanu cywilnego; roz-

---

*) „Si quis dixerit non esse vere et proprie unum ex septem legis evangelicae sacramentis a Christo Domino institutum, sed ab hominibus in ecclesia inventum, neque gratiam conferre: anathema sit" **(Tridentinum, Sessio XXIV, De sacramento matrimonii, can. 1).** — Przed Tridentinum zatem zasadą było: **consensus facit nuptias**; dla ważności małżeńtswa wystarczyła zgoda nupturjentów. Dopiero dekret Tridentinum **Tametsi** określił w a ż n o ś ć małżeństwa w zależności od zawarcia umowy przedewszystkiem przed upoważnionym kapłanem **(parochus vel ordinarius proprius;** według dekretu **Ne temere** z roku 1907 przez Piusa X wydanego: **parochus vel ordinarius loci).**

wiązanie, oczywiście, jest przedmiotem sądu cywilnego, świeckiego. W państwach, w których obowiązuje ślub cywilny, ślub religijny zawierany być może tylko po uprzedniem otrzymaniu ślubu cywilnego; jest to zatem sprawa prywatna nupturjentów. W sprawy tego rodzaju państwo się nie miesza.

Trzeci typ prawa małżeńskiego, to typ mieszany, kompromisowy. Typ ten polega na tem, że państwo przyjmuje prawo małżeńskie religijne, wyznaniowe, ale nie w całości, lecz tylko w części. A więc ślub jest kościelny, według przepisów prawa kanonicznego, zatem zawierany jest przed upoważnionym duchownym, wszakże juryzdykcja należy do państwa: państwowe sądy rozpatrują sprawy rozłączenia (separacje, rozwody). Typ ten jest równie obowiązującym w niektórych państwach, jak w innych owe dwa wyżej omówione.

Jeśli się teraz rozpatrzymy w państwach europejskich z punktu widzenia tych trzech typów prawa małżeńskiego, to przekonamy się, że są państwa, które nie uznają za obowiązkowy jeden z góry określony typ prawa małżeńskiego (cywilny — kościelny — mieszany), lecz obywatelom swym pozostawiają do wyboru jeden z dwuch uznanych typów, a więc albo ten, albo tamten; albo ślub cywilny, albo ślub kościelny, oba bowiem w danem państwie są uznane za ważne. Istnieje tu zatem fakultatywność, prawo wyboru. Tylko co do juryzdykcji sprawa w tych państwach przedstawia się zwykle jednotypowo: niema tu fakultatywności, juryzdykcja jest zawsze cywilna. Otóż z takiego prawa małżeńskiego tylko drobne skrawki państwa polskiego mogą korzystać: Spisz i Orawa.

Polska w Europie katolickiej najbardziej zacofanym państwem

W ten sposób obraz Europy pod względem typów prawa małżeńskiego przedstawiać się będzie w sposób następujący:

Z jednej strony będziemy mieli państwa, w których istnieją śluby cywilne (I); z drugiej — państwa, w których śluby cywilne nie istnieją; istnieją zatem wyłącznie śluby kościelne (II). I jedne i drugie rozpadają się w dalszym ciągu na dwa poddziały. Będziemy mieli zatem następujący obraz:

I grupa: państwa posiadające śluby cywilne. Podgrupa A: państwa, w których śluby cywilne są obligatoryczne, obowiązkowe. Typ integralnie cywilny. Podgrupa B: państwa, w których śluby cywilne są fakultatywne: obywatel ma prawo wybierać: ślub cywilny lub ślub kościelny. Typ fakultatywny.

II grupa: państwa nie posiadające ślubów cywilnych, posiadające zatem tylko śluby kościelne. Podgrupa A: państwa, w których zarówno ślub jak i juryzdykcja są kościelne. Typ integralnie kościelny. Podgrupa B: państwa, w których ślub jest kościelny, ale juryzdykcja świecka. Typ mieszany.

Zilustrujmy teraz ten schemat konkretnymi przykładami.

Ale przedewszystkiem zastrzeżenie. Europa mieści w sobie 35 państw. Otóż z tej ilości państw, dla uproszczenia obrazu, skreślam pewną ich ilość. A więc przedewszystkiem skreślam dwa państwa niechrześcijańskie: Turcję i Albanję. Następnie skreślam pięć państw „mikroskopijnych“, a więc Monaco (ok. 25 tysięcy mieszkańców), San Marino (ok. 13 tysięcy), Liechtenstein (ok. 10 tysięcy), Andorrę (ok. 6 tysięcy) oraz Miasto Watykańskie (Città del Vaticano) — najmniejsze państwo na kuli ziemskiej: 0,44 km z 1044 mieszkańcami, przeważnie przymusowo celibatującymi. Skreślam wreszcie również i Litwę (ok. 2,5 milj.), gdyż nie posiadam żadnych danych w interesującej nas sprawie. W ten sposób skreślam 8 państw; pozostaje zatem do „ilustracji“ 27 państw z ludnością przeszło 450 miljonów (skreślone chrześcijańskie zaledwie ok. 2,5 miljonów). Owe państwa rozkładają się w sposób następujący:

I. A: *Typ integralnie cywilny*: 1. Francja, 2. Belgja, 3. Luksemburg, 4. Holandja, 5. Niemcy, 6. Wolne m. Gdańsk, 7. Szwajcarja, 8. Portugalja, 9. Węgry, 10. Rumunja, 11. Hiszpanja, 12. Estonja oraz 13. Rosja Sowiecka.

I. B: *Typ fakultatywny*: 1. Szwecja, 2. Norwegja, 3. Finlandja, 4. Islandja, 5. Danja, 6. Anglja, 7. Włochy, 8. Czechosłowacja oraz 9. Łotwa.

II. A: *Typ integralnie kościelny*: Bułgarja (jedyne państwo).

II. B: *Typ mieszany*: 1. Grecja oraz 2. Austria; przyczem zauważyć należy że w Austrji istnieją również śluby cywilne wyjątkowe („Notzivilehe“).

Zostaje zatem poza Polską jeszcze tylko jedno państwo — Jugosławja. Tu bowiem, jak i w Polsce, prawodawstwo małżeńskie również nie zostało ujednostajnione; mamy tu bowiem trzy typy prawa małżeńskiego: tylko niewielkie obszary korzystają z typu integralnie cywilnego (z pod dawnych Węgier) lub mieszanego (z „Notzivilehe“, z pod dawnej Austrji); ogromna większość terytorjum państwowego korzysta z typu integralnie religijnego (Chorwacja na Zachodzie oraz ziemie na wschód od niej położone). Stan rzeczy więc co do ilości panujących typów praw małżeńskich jest tu nieco pomyślniejszy niż w Polsce, gdzie jest pięć praw małżeńskich.

A zatem na 27 państw europejskich trzy tylko państwa charakteryzuje typ integralnie kościelny: Bułgarja (w całości) oraz Jugosławja i Polska w przeważającej większości. Są to wyłącznie państwa słowiańskie. Typ integralnie kościelny prawa małżeńskiego nie istnieje w żadnem państwie nie-słowańskiem.

Przyjrzyjmy się jeszcze tym państwom, rozklasyfikowanym w czterech grupach, ze stanowiska kulturalnego wzgl. kulturalno-religijnego, t. j. odpowiedzmy na pytanie, w zasięgu jakich typów kulturalnych znajdują się owe państwa każdej z czterech grup: Czy w zasięgu kultury zachodnio-europejskiej,

w podstawie której leży katolicyzm wzgl. ewangelicyzm, czy też w zasięgu kultury wschodnio-europejskiej, bizantyjskiej, w podstawie której leży prawosławie.

I. A: Typ integralnie cywilny: 1) państwa katolickie: Francja, Belgja, Luxemburg, Portugalja i Hiszpanja; 2) państwa wyznaniowo mieszane: Niemcy (ew. + kat.), Holandja (ew. + kat.), Szwajcarja (ew. + kat.) i Węgry (kat. + ew.); 3) państwa ewangelickie: Estonja i Wolne m. Gdańsk, wreszcie 4) państwa prawosławne: Rumunja i Rosja.

A zatem jasne: typ integralnie cywilny (obligatoryczny), posiada: 5 państw katolickich, 2 państwa ewangelickie i 4 państwa ewangelicko-katolickie; razem 11 państw typu kulturalnego zachodnio-europejskiego. Dwa tylko państwa prawosławne (Rumunja i Rosja), typu zatem wschodnio-europejskiego (zasiąg kultury bizantyjskiej) mają również ustawodawstwo małżeńskie cywilne. Te dwa zatem państwa wyłamały się z tradycji i weszły w orbitę wpływów kultury zachodniej.

I. B: Typ fakultatywny (cywilny): 1) państwa ewangelickie: Szwecja, Norwegja, Islandja, Danja, Anglja i Finlandja; 2) państwo wyznaniowo mieszane: Łotwa (ew. + kat.) oraz 3) państwa katolickie: Włochy i Czechosłowacja.

A zatem typ cywilny fakultatywny posiada 6 państw ewangelickich, 1 wyznaniowo mieszane z przewagą ewangelicką i dwa tylko państwa katolickie; wszystko zatem państwa typu kulturalnego zachodnioeuropejskiego. Ciekawem jest, że typ fakultatywny, t. j. dopuszczający wolny wybór, charakteryzuje państwa ewangelickie; świadczy to o tolerancyjności ewangelicyzmu i jego wielkich walorach wychowawczych *).

II. A: Typ integralnie kościelny: jedyne państwo — Bułgarja; państwo prawosławne — państwo typu kulturalnego wschodnioeuropejskiego, zasięgu bizantyjskiego.

II. B: Typ mieszany: 1) państwo prawosławne — Grecja, oraz 2) państwo katolickie — Austrja.

---

*) Statystyka bezwzględnie stwierdza różnicę poziomu moralnego ewangelików i rzymsko-katolików. Przy sposobności przypomnę tu też statystykę z czasów jeszcze istnienia państwa papieskiego, mianowicie z roku 1868. Oto dane dotyczące ilości osób dotkniętych chorobami wenerycznemi w następujących stolicach (liczby podaję bez ułamków): w protestanckim Berlinie 17 proc., w katolickiej Brukseli 27 proc., w Paryżu 30 proc., w arcykatolickim Wiedniu 43 proc. i w teokratycznie przez „wikarjusza Chrystusowego" rządzonym Rzymie... 52 proc.! Oto zaś cyfry chorych wśród prostytutek: w Brukseli 12 proc., w Berlinie 13 proc., w Paryżu 14 proc., w Rzymie zaś — co za skok! — 42 proc! A oto jak było (dane dotyczą początku b. w.) w katolicko-hiszpańskiem Ekwadorze, gdzie czwarta część kraju należała do biskupów, gdzie na 150 mieszkańców przypadał jeden kościół, a na 10 mieszkańców jeden zakonnik lub zakonnica i gdzie kościół obchodził rocznie 272 święta: oto w kraju tym na 100 dzieci było 75 nieprawych (por. H. Ułaszyn „Z walk z kłamstwem". Poznań 1934; por. też tegoż „Państwo i kościół w walce o szkołę". Lublin 1935).

Uogólniając powyższe przedstawienie rzeczy pod kątem widzenia przynależności kulturalnej wzgl. wyznaniowej poszczególnych państw, stwierdzić należy:

1) Z państw o kulturze zachodnioeuropejskiej, t. j. o zasięgu tradycyjnych podstaw katolickich i ewangelickich, tylko jedna Austrja, państwo katolickie, wydziela się od reszty państw tradycyjnego zasięgu kultury zachodnioeuropejskiej przez zachowanie obligatoryjności, obowiązkowości ślubów kościelnych wzgl. przez brak ślubów cywilnych obligatorycznych lub fakultatywnych, charakteryzujących zasadniczo wszystkie inne państwa o zasięgu kulturalnem zachodnio-europejskim. Pozostaje wszakże Austrja w orbicie tej kultury dzięki świeckiej juryzdykcji i istnieniu bodaj wyjątkowych ślubów cywilnych („Notzivilehe").

2) Z państw o kulturze wschodnio-europejskiej, t. j. o zasięgu tradycyjnych podstaw prawosławnych wzgl. bizantyjskich, jedna tylko Bułgarja pozostała w tym zasięgu. Pozostałe bowiem państwa o kulturze wschodnioeuropejskiej zerwały z tradycyjnemi podstawami swej kultury i znalazły się typami swych praw małżeńskich w zasięgu wpływów kultury zachodnioeuropejskiej, t. j. albo wprowadziły u siebie obligatoryczne śluby cywilne, jak Rumunja i Rosja Sowiecka, lub też mieszane prawo małżeńskie, jak Grecja (juryzdykcja świecka). Europeizacji zatem w stylu zachodnioeuropejskim uległy wszystkie państwa o kulturze wschodnioeuropejskiej z wyjątkiem Bułgarji, która zresztą — jak słyszymy obecnie — przystępuje do reformy swego, dziś wyjątkowego co do zacofania, prawa małżeńskiego w duchu zachodnioeuropejskim.

Wobec powyższego zjawia się teraz pytanie do jakiego typu pod względem kulturalnym zaliczyć należy stan rzeczy w Jugoslawji i w Polsce, jako w państwach o nieujednostajnionem prawie małżeńskiem? Oczywiście, że do typu II. A, t. j. integralnie kościelnego, albowiem na przeważającej większości terytorjum państwowego tak Jugosławji, jak i Polski, obowiązują właśnie śluby i juryzdykcja kościelna. Do tego typu, jak widzieliśmy, należy tylko Bułgarja. Jeśli się wszakże zważy, że Bułgarja w całości, Jugosławja zaś w większości są prawosławne, a zatem należące tradycyjnie do zasięgu kultury wschodnioeuropejskiej, Polska zaś jest katolicka, stwierdzić należy, że jedynem państwem w Europie katolickiem, o zasięgu kultury zachodnioeuropejskiej, najbardziej zacofanem pod względem prawodawstwa małżeńskiego — jest Polska.

Jest to tembardziej upokarzające, że śluby cywilne rozpowszechnione są właśnie w państwach katolickich, natomiast śluby kościelne, obowiązkowe, charakteryzują państwa prawosławne, o kulturze bizantyjskiej. Pomijając Rosję Sowiecką, gdzie zmiany nastąpiły drogą rewolucyjną, dwa państwa prawosławne, w świadomości wyższości prawa małżeńskiego zachodnioeuropejskiego, **sua sponte** wyłamały się z tradycji kul-

tury wschodnioeuropejskiej pod tym względem: jedno całkowicie — Rumunja, która wprowadziła śluby cywilne obowiązkowe i drugie częściowo — Grecja, wprowadzając juryzdykcję cywilną.

Pod względem więc prawodawstwa małżeńskiego Polska znajduje się nie w orbicie wpływów kulturalnych Zachodu, państw katolickich lub ewangelickich, lecz w orbicie wpływów kulturalnych państw wchodnioeuropejskich, o tradycjach bizantyjskich, prawosławnych. Jest zatem Polska jedynem w Europie państwem katolickiem pozostającem pod względem prawa małżeńskiego w orbicie kultury wschodnio-europejskiej.

Polski projekt reformy prawa małżeńskiego — i kto mu się sprzeciwia?

Karykaturalność istnienia pięciu praw małżeńskich w państwie polskiem jak i zacofanie prawa na największych terytorjach Polski panującego, jego kontrastowość w stosunku do stanu rzeczy na Zachodzie — to wszystko spowodowało, że już dość wcześnie po restytucji państwa polskiego zajęto się u nas unifikacją i reformą prawa małżeńskiego.

Państwowa Komisja Kodyfikacyjna, złożona z najwybitniejszych teoretyków i praktyków, po długich i sumiennych studjach i rozważaniach wypracowała i uchwaliła następującego rodzaju projekt prawa małżeńskiego:

Wprowadza się w całem państwie śluby cywilne (istniejące już w województwach zachodnich i na skrawkach z pod Węgier), ale nie obligatoryczne, obowiązkowe, lecz fakultatywne, t. j. pozostawia się ludności swobodny wybór ślubu: cywilny lub kościelny. Juryzdykcja, sądownictwo jest zawsze cywilne.

A zatem projekt ów jest zasadniczo identyczny z prawem małżeńskiem istniejącem w następujących państwach: w Szwecji, Norwegji, Islandji, Danji, Anglji, Czechosłowacji, Łotwie i, co najważniejsze, we Włoszech. Nie idzie zatem tak daleko, jak we Francji, Belgji, Luksemburgu, Holandji, Niemczech, Wolnem m. Gdańsku, Szwajcarji, Portugalji, Węgrzech, Rumunji, Hiszpanji, Estonji i Rosji Sowieckiej, gdzie mamy śluby cywilne obowiązkowe.

A jednak, kiedy projekt ów został ogłoszony, podjęto taki gwałt, że rząd projekt wycofał i odłożył **ad acta**, wzgl. do szczęśliwszego momentu. Zastanawia nas, skąd i dlaczego podjęto u nas taki alarm?

Przecież, kiedy w roku 1808 wraz z kodeksem Napoleońskim zaprowadzono u nas śluby i juryzdykcję cywilną — gwałtu żadnego nie czyniono. Daje temu wyraz uchwala Sejmu Królestwa Kongresowego z roku 1825, w której czytamy, co następuje:

„Od czasu zaprowadzenia kodeksu cywilnego francus-

kiego do kraju naszego... sądy cywilne w materji nieważności małżeństwa, rozwodów i rozłączenia od stołu i łoża wyrokowały, a przecież żadna o to reklamacja do rządu ze strony głowy kościoła katolickiego nie zaszła“...

Tak — żadna reklamacja, żaden sprzeciw ze strony papieża nie nadszedł; ani episkopat polski żadnych orędzi, jak obecnie, w tej sprawie nie wydawał...

A kiedy znów w części ziem polskich, pozostających pod zaborem pruskim w r. 1876 zaprowadzono obowiązkowe śluby cywilne, episkopat polski nie reklamował i nie podejmował takiego gwałtu, jak dziś. Nie podejmował gwałtu przed najeźdźcą. Ale dziś, kiedy nie najeźdźca nam prawa narzuca, lecz kiedy nowe prawo jest owocem pracy najwybitniejszych naszych znawców prawa a dzielnych i zasłużonych obywateli państwa, nawiązujących przerwaną nić tradycji z kulturą zachodnioeuropejską — episkopat polski podejmuje gwałt i bije na alarm...

I — podkreślam to — czyni to episkopat nasz, rodzimy, i nie reklamuje u papieża. Wiemy dlaczego. Bo wie, że reklamacja stamtąd, z Watykanu, nie nadejdzie, bo nadejść nie może...

Przecież układy Laterańskie Mussoliniego z papieżem Piusem XI z dn. 11 lutego 1929 roku uniemożliwiają wszelki w tej sprawie krok papieżowi. I nie tylko dlatego, że układy Laterańskie w sprawie małżeństwa co do zasady są identyczne z projektem polskim. We Włoszech przecie przed układem tym obowiązywały wyłącznie śluby cywilne już od roku 1870. Układy zaś Laterańskie polegają na tem, że tylko zrównują i tylko śluby kościelne z cywilnemi, ale i to m. in. też pod warunkiem, że każdy ślub kościelny w ciągu 5 dni musi być zameldowany przez duchownego urzędowi stanu cywilnego pod rygorem nieważności związku (ślubu). Nawet metrykę ślubu, mimo, że ślub był kościelny, wydaje nie duchowny, lecz urząd stanu cywilnego. Oczywiście, sądownictwo w sprawach małżeńskich jest cywilne.

Ale, co jest najciekawsze i niewątpliwie bolesne dla kościoła rzymsko-katolickiego, to okoliczność, że reforma ta nie jest jakiemś ustępstwem na rzecz kościoła katolickiego, że nie jest udzieleniem przez państwo jakiegoś przywileju kościołowi rzymskiemu — nie, reforma ta jest wynikiem, na wzór państw ewangelickich, tolerancyjnego stanowiska państwa w stosunku do wogóle wszystkich wyznań w państwie istniejących, gdyż to samo prawo dotyczy obecnie również i ślubów protestanckich oraz żydowskich, mimo że we Włoszech protestantów i wyznawców mojżeszowych jest znikoma ilość.

Ale nie tylko — jak rzekłem — reklamacja dlatego ze strony papieża nie nastąpiła i nie nastąpi, że nowe prawo małżeńskie we Włoszech jest w zasadzie identyczne z projektowanem polskiem, lecz jeszcze i z tego względu, że papież Pius XI w encyklice swej „O małżeństwie chrześcijańskiem“ z dn. 31

grudnia 1930 roku, stawia właśnie dla wszystkich za przykład zawarcie ugody Laterańskiej, której jednym z istotnych momentów jest fakultatywność ślubu cywilnego wzgl. kościelnego.

Oto jak dosłownie brzmi odnośny ustęp encykliki papieskiej: „Tak to właśnie, żeby świeży i głośny przykład*) przytoczyć według sprawiedliwości i według prawa Chrystusowego doszła do skutku także w sprawach małżeńskich pokojowa ugoda i pozytywny akt, w uroczystej konwencji między Stolicą Apostolską i Królestwem Italji szczęśliwie dokonany, jak domagały się tego sławne dzieje italskiego (recte: włoskiego. H. U.) narodu i starodawne jego a czcigodne tradycje... Fakt ten może służyć wszystkim za przykład i uzasadnienie tego pewnika, że nawet w naszych czasach... jedna i druga władza naczelna (t. j. duchowna i świecka) mogą bez wszelkiego uszczuplenia swych praw lub zwierzchniej władzy... ku pożytkowi obydwu społeczności, złączyć i zrzeszyć się i wspólnie nad małżeństwem czuwać“...

Rzeczą jest jasną i zrozumiałą, że kto w ten sposób scharakteryzował układ Laterański w sprawie prawa małżeńskiego zawarty we Włoszech, ten nie może się przeciwstawiać, ani potępiać identycznego w zasadzie prawodawstwa małżeńskiego, zaprojektowanego w Polsce przez Komisję Kodyfikacyjną.

Nie z Watykanu więc tym razem płynie u nas opór przeciwko wprowadzeniu w życie owego projektu. Nie z Watykanu, lecz kół rodzimego duchowieństwa, z episkopatem na czele, zagrożonego na skutek projektowanej reformy w zasięgu swych wpływów oraz w naterjalnych warunkach bytu. Nie z Watykanu, bo Watykan o układzie Laterańskim słowami encykliki papieskiej orzekł: „może służyć wszystkim za przykład“...

To też chętnie — wbrew naszemu klerowi — przyjmujemy ów zalecony przez Piusa XI „przykład“ za swój własny: chcielibyśmy bowiem conajmniej mieć takie prawo małżeńskie, jakie istnieje we Włoszech na podstawie układu Laterańskiego.

Henryk Ułaszyn.

Doc. U. J. dr EUGENIA STOŁYHWOWA

Z zagadnień krzyżowania ras ludzkich

Jednym z zagadnień oddawna interesujących nie tylko świat naukowy, ale i szeroki ogół, jest niewątpliwie zagadnienie krzyżowania ras ludzkich. Wiążące się, mniej lub więcej bezpośrednio, z szeregiem problemów stawianych przez antropologię, t. j. naukę o człowieku jako odrębnym gatunku, czy

*) Podkreślenia moje. H. U.

też — jak chcą inni! — rodzaju w ogólnej klasyfikacji istot żyjących — zagadnienie to nie schodzi już blisko od 2 wieków z pola zainteresowań uczonych europejskich. Nie jestem oczywiście w stanie omówić tu wszystkich kwestii poruszanych dotychczas w związku z zagadnieniem krzyżowania ras ludzkich. Wybieram przeto tylko jedną z nich, wysuwaną często w związku z pewnymi koncepcjami społeczno-politycznymi, występującymi obecnie w szeregu państw północno-zachodniej Europy — specjalnie w Niemczech! — oraz w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. Kwestią tą jest zagadnienie wartości mieszańców powstałych ze skrzyżowania przedstawicieli odrębnych, często silnie zróżnicowanych ras ludzkich.

Ciekawym jest, iż kwestia ta wprowadzona została w sferę badań naukowych nie przez antropologów, ale przez historyków — ściślej — historyków kultury. Aby to zrozumieć musimy sobie uświadomić, że Europejczyka, spotykającego się w okresie wielkich odkryć geograficznych z coraz to nowymi grupami ludzkimi zamieszkującymi nowoodkryte lądy i wyspy, uderzała nie tylko odrębność postaci tych nowych, przeważnie kolorowych, bliźnich, ale i niższy w większości wypadków stopień kultury, a więc i organizacji życia społecznego. Nie rożróżniając w sposób należyty pojęcia rasy (jako określenia grupy ludzkiej o specyficznym zespole cech ujawniających się w organizmach jej przedstawicieli) od pojęcia ludu (określenia grupy etnicznej charakteryzującej się odrębnym językiem i kulturą) — używano tych określeń równorzędnie: nie rozumiano, że pojęcia te nie pokrywają się z sobą — że zazwyczaj lud stanowi mieszaninę kilku ras — i że jedna i ta sama rasa może wchodzić w skład kilku ludów. Mówiąc o ludach stojących na niższym stopniu kultury nazywano je równie dobrze „niższymi ludami“ jak „niższymi rasami“. Błędne te wyrażenia uzyskały niejako sankcję słuszności, gdy historycy w końcu wieku XVIII, zastanawiając się nad przyczynami różnic poziomów kultury osiągniętych przez poszczególne grupy ludzkie, wyraził pogląd, iż momentem decydującym był poziom rozwoju psychicznego i umysłowego danej grupy. To też gdy jedne z nich osiągnęły już bardzo wysoki poziom kultury i wykazują dalszy postęp w tym względzie — inne zatrzymały się na niższych szczeblach rozwoju kulturalnego, który dla nich stanowił jednak maksimum, które mogły osiągnąć.

Pogląd ten, podtrzymany i rozwinięty przez cały szereg fanatycznych zwolenników stał się punktem wyjścia czy też raczej rozrósł się w t. zw. teorię rasizmu, która opiera się właśnie na wysuniętej różnicy w możliwościach rozwoju psychicznego i umysłowego poszczególnych ras ludzkich. Rozbudowana w kierunku szeregu koncepcji społeczno-politycznych przez Artura Gobineau, Lapouge'a, Woltmana i innych teoria rasizmu zainteresowała w drugiej połowie XIX w. z jednej strony antropologów, z drugiej szersze koła polityków wśród

społeczeństw krajów północno-zachodniej Europy, a specjalnie Niemiec, które w oczach rasistów były terenem o najwyższej procentowości przedstawicieli owej czystej białej rasy — „najwyższej", w sensie swoich możliwości psychicznych, której — poza białą skórą — cechami charakterystycznymi miały być: jasne włosy, niebieskie oczy, wydłużony kształt czaszki i wysoki wzrost. Nie mogę tu bliżej wkraczać w historię rozwoju teorii rasizmu, która po pewnym osłabieniu swej popularności w okresie przedwojennym, święci, jak wiemy, obecnie tryumfy w Niemczech, stając się niejako „naukową podstawą" koncepcji społeczno-politycznych partii narodowych socjalistów. Chcę jednak zwrócić uwagę, że jedną z kwestii wielkiej praktycznej doniosłości dla rasizmu musiała być, oczywiście, kwestia krzyżowania owych „niższych" i „wyższych" ras, specjalnie z punktu widzenia wartości mieszańców.

Ponieważ zagadnienie dziedziczności było w wieku XIX w powijakach, pogląd panujący w stosunku do krzyżowania był taki, jakby to było zjawisko mieszania się, np. mieszania wody z winem: mieszaniec miał być zawsze formą pośrednią pomiędzy obu rasami rodzicielskimi, i to zarówno pod względem budowy organizmu, jak i jego czynności, a więc i swoich możliwości psychicznych. Przy takim poglądzie na krzyżówki wniosek był oczywiście z góry przesądzony: mieszaniec będzie zawsze bardziej wartościowy od swego, powiedzmy, rodzica rasy niższej, ale też m n i e j w a r t o ś c i o w y od rodzica pochodzącego z rasy wyższej, a wobec tego z punktu widzenia rasy wyższej, wszelka krzyżówka jest dla niej n i e k o r z y s t n a. I nie tylko dla „wyższej" rasy, ale i dla ludzkości całej — dowodzili rasiści, gdyż krzyżowanie się białej rasy z niższymi, lekkomyślnie ściąga niejako ludzkość z tych wyżyn, do których dojść mogą „czyści" przedstawiciele rasy białej, najwyższej. Gobineau i Woltmann byli przekonani, iż tak jak powstanie wielkich kultur świata starożytnego zawdzięczamy przedstawicielom rasy białej, tak upadek tych kultur był spowodowany właśnie owym nieopatrznym krzyżowaniem się z rasami niższymi, a przez to obniżeniem wartości potomstwa, które nie zdołało utrzymać dzieła stworzonego przez bardziej uzdolnionych ojców.

Najbardziej fanatycznym przeciwnikiem krzyżówek był Lapouge, który uważał, iż poza wyżej wymienioną, krzyżówka przynosi jeszcze jedną, niezmiernie doniosłą w swoich skutkach szkodę. Miało nią być zjawisko zdegenerowania instynktu utrzymania gatunku, objawiające się u mieszańców przede wszystkim w zaniku instynktu macierzyńskiego u kobiet, zmniejszaniu się płodności, a co za tym idzie tendencji do zmniejszania przyrostu ludności, a nawet wymierania społeczeństw. Przykładem takiego społeczeństwa miałaby być Francja, gdzie sfery arystokratyczne, kierownicze, pierwotnie czysto białej rasy („nordyczne", jakbyśmy je dziś określili) — nie

dość skrupulatnie przestrzegały czystości swej krwi, przyczyniając się tym nie tylko do jakościowego, ale i do ilościowego zubożenia ludności swego kraju. Jak widzimy, pomijał Lapouge zupełnie, niewątpliwie tu działające, momenty natury społecznej, ściśle ekonomicznej itd., których wpływ nie może przecież nie być brany pod uwagę! Momenty te jeszcze silniej występują w drugim przykładzie Lapuge'a: małej b. płodności mieszańców białego człowieka z ludnością tubylczą krajów egzotycznych. Przykład ten staje się absolutnie nieprzekonywujący, gdy zważymy, że bodaj w przeszło 90% wypadków mieszańcy ci byli wynikiem zupełnie przypadkowych stosunków, iż wychowani w nienormalnych najczęściej warunkach, niedopuszczani do społeczeństwa „białych", a nie chcąc współżyć — wobec swej 50% wartości „białego" — ze społeczeństwem matki, tworzą grupy, które stanowczo nie mogą służyć, jako materiał nadający się do obiektywnych badań nad płodnością mieszańców.

Nic też dziwnego, iż gdy w związku z nowoodkrytymi na początku bieżącego stulecia prawami dziedziczności, prawami przekazywania cech potomstwu stanęliśmy wobec sprawy znalezienia odpowiednich do badań materiałów antropologicznych pochodzących ze skrzyżowania daleko stojących od siebie ras — uświadomiono sobie, w jak ciężkich warunkach w porównaniu do botanika i zoologa, którzy zawsze posługiwać się mogą d o ś w i a d c z e n i e m, znajduje się antropolog—skazany jedynie na o b s e r w a c j ę! Na szczęście okazało się, iż tak często utrudniające pracę antropologa momenty społeczne, przyczyniły się do stworzenia w kilku miejscach naszego globu takich warunków, które odpowiadały — do pewnego stopnia oczywiście! — warunkom doświadczenia nad krzyżowaniem ras ludzkich. Takimi były np. warunki, które wytworzyło maleńkie, ale odrębne społeczeństwo mieszańców osiadłe w Rehoboth, w Afryce południowej, pochodzące ze skrzyżowania białych kolonistów — przeważnie Holendrów — z kobietami hotentockimi. To z kilkuset osób zaledwie złożone społeczeństwo „bastardów" — jak ich nazywano — odseparowane zarówno od społeczeństwa „białych" jak i „czarnych" — w stosunku do których uważają się za „wyższych" — prowadzące normalny, osiadły tryb życia kolonistów, stanowiło ową grupę, nad którą Eugen Fischer przeprowadził swe słynne, pierwsze badania nad wynikami krzyżowania ras ludzkich, ogłoszone w r. 1913. Zarówno one jak i dalsze badania w tym kierunku, przeprowadzane częściowo na podobnie, dzięki specjalnym warunkom powstałych społeczeństwach mieszańców, dostarczyły nam sporo danych rzucających nowe, bardzo ciekawe światło na sprawę wartości mieszańców. Nim przejdę do innych, chciałabym wspomnieć, że jeśli chodzi o ostatnio poruszoną kwestię ograniczonej płodności mieszańców — to nie została ona w tych badaniach potwierdzona. Fischer podaje nawet, że płodność bastardów z Rehoboth (sądząc z ilości dzieci przypadających na

rodzinę) była **w i ę k s z a** niż u Holendrów, i zdaje się być co najmniej nie mniejsza niż u Hotentotów — jakkolwiek autor zastrzega się, iż — wobec braku danych statystycznych dla płodności Hotentotów — dokładne porównanie jest niemożliwe.

A teraz jakże w świetle współczesnych badań przedstawia się owa „pośredniość" mieszańców? Przede wszystkim stwierdzono, iż nie może być mowy o pośredniości całego organizmu mieszańców, ze względu na to, że rasa nie dziedziczy się jako cały zespół cech, ale że **każda z cech dziedziczy się odrębnie** *). To też mieszaniec dwu ras może posiadać jedną cechę odziedziczoną po matce, a drugą po ojcu, bynajmniej w nieosłabionej formie. W organizmie człowieka istnieje jednak wiele cech, które ze względu na to, że uwarunkowane są nie jednym, ale wieloma zawiązkami dziedzicznymi **) dziedziczą się inaczej. A mianowicie, mogą dawać albo postacie pośrednie nasilenia, albo też (t. zw. zjawisko transgresji) mieszańców o nasileniu mniejszym niż minimum, albo większym niż maksimum skali nasilenia rodziców. Np. para rodziców, z których jedno ma skórę koloru mlecznej kawy, a drugie bronzową może posiadać dziecko o skórze jaśniejszej niż mleczna kawa lub ciemniejszej od bronzowej. N a j p r a w d o p o d o b n i e j, n a j c z ę ś c i e j dzieci będą jednak miały barwę pośrednią o rozmaitym nasileniu.

Z niezmiernie ciekawych badań Davenporta i Steggerdy'ego, przeprowadzonych nad mulatami w porównaniu do „białych" i „czarnych", wynikałoby, że cechy psychiczne, np. pewne zdolności mogą się również dziedziczyć w sposób opisany powyżej. Wobec tego musimy zawsze oczekiwać możliwości zjawienia się wśród mieszańców zarówno mniej uzdolnionych od mniej zdolnego rodzica, jak też i bardziej uzdolnionych od bardziej uzdolnionego rodzica, a więc możliwości przekroczenia minimum i maksimum uzdolnień pary rodziców. Fakt ten jest przyczyną, iż szereg antropologów z Davenportem na czele uważa, że krzyżowanie się ras ludzkich jest właściwie zjawiskiem pożytecznym. Rozszerza ono skalę wahań nasilenia poszczególnych cech, z cechami warunkującymi zdolności włącznie, a więc istnieje możliwość zjawienia się wybitnie wartościowych mieszańców, t. zw. plus wariantów.

Ponieważ życie, walka o byt wyselekcjonowuje mniej uzdolnione elementy — t. zw. minus warianty — ostateczny efekt krzyżówki miałby być niewątpliwie dodatnim dla ludzkości.

Nie sądźmy jednak, aby ten optymistyczny pogląd był ogólnie przyjęty. Równocześnie z nim istnieje zgoła inny, pesymistyczny, rozpowszechniony specjalnie wśród antropolo-

---

*) Nie poruszam tu kwestii t. zw. sprzężenia cech, które wymaga znajomości zagadnień dziedziczności.

**) T. zw. cechy polimeryczne.

gów i eugenistów skandynawskich, opierających się na pewnych przesłankach teoretycznych, którym trudno odmówić słuszności. Skoro każda z cech — dowodzą oni — dziedziczy się zgodnie z przyjętymi dziś zasadami samodzielnie, teoretycznie możliwym jest, iż mieszaniec dwu zupełnie harmonijnych pod względem budowy i funkcji ras ludzkich będzie *obarczony przyrodzoną wadą organiczną*. Wystąpi ona mianowicie wówczas, gdy z pośród części składowych pewnego narządu jedne odziedziczy mieszaniec od matki, a drugie od ojca. Niezharmonizowanie, nie dopasowanych do siebie części spowoduje w konsekwencji upośledzenie funkcji narządu. Jako przykład służyć może częste występowanie skłonności do wywichnięcia stawu biodrowego u mieszańców norwesko-lapońskich. Skłonność ta miałaby być uwarunkowana odziedziczeniem małej panewki miednicy (od drobnej, niskiego wzrostu rasy laponoidalnej), w której nie jest w stanie utrzymać się nieodpowiednio duża główka kości udowej, odziedziczona po norweskim przedstawicielu rasy nordycznej!

Podobne dysharmonie w budowie oczu, powodowaćby miały wady wzroku u dzieci pochodzących od rodziców posiadających zupełnie normalny wzrok, lecz należących do dwóch zróżnicowanych pod względem budowy narządu wzroku ras. Z możliwością przyrodzonego upośledzenia funkcji organizmu u mieszańców, wiąże się być może — sprawa mniejszej jakoby odporności mieszańców na pewne choroby: raka i gruźlicy przede wszystkim. Znany propagator idei eugenicznych dr Mjoen zwraca uwagę na fakt, iż mapy rozprzestrzenia obu tych chorób w Norwegii wykazują specjalnie silne ich natężenie na tych terenach, na których ma miejsce mieszanie się Norwegów (o dużej zawartości rasy nordyckiej) z elementami laponoidalnymi z Północy. Przykładów podobnych, mających wskazać na mniejszą odporność mieszańców znamy w literaturze naukowej bardzo dużo, gdyż sprawa ta podnoszona już była od bardzo dawna. Wszystkie jednak przykłady są tego rodzaju, iż nie wykluczają absolutnie wpływu gorszych często, jak to już wspominałam, warunków społecznych, a stąd i higienicznych, w jakich wzrastają mieszańcy — szczególnie jeśli chodzi o mieszańców białego człowieka z rasami kolorowymi.

Reasumując — trudno by, jak widzimy mówić dziś **ogólnikowo** o wartości mieszańców. Stary pogląd rasistowski o bezwzględnej szkodliwości krzyżówek rasowych, ze względu na pośredni — *zawsze!* — charakter mieszańców, oczywiście, nie może być utrzymany. Tym nie mniej kwestia wartości mieszańców nie jest przesądzona. A tym samym nie jest przesądzone stanowisko, jakie społeczeństwo winno zająć wobec krzyżówek rasowych. Czy przeciwdziałać im w obawie przed możliwością pojawienia się osobników o dysharmonijnej budowie i funkcjach lub też uwarunkowanych transgresją — minus wariantów? Czy też odwrotnie: w oczekiwaniu na owe

wybitnie wartościowe plus warianty, na owe wyjątkowe, przekraczające uzdolnienia obu ras wyjściowych, może właśnie genialne jednostki, popierać krzyżowanie ras, decydując się na to, iż równocześnie powstanie pewna ilość jednostek, która ze względu na swą mniejszą wartość będzie skazana na wyselekcjonowanie w ciężkiej walce człowieka o swój chleb powszedni?

Eugenia Stołyhwowa.

MAKSYMILIAN BORUCHOWICZ

Czy nie czas skończyć z frazesem o „życiu ułatwionym"?

Etykiety i epitety mają twardy żywot... Kilka lat temu p. J. E. Skiwski napisał artykuł p. t. „Życie ułatwione" („Naprzełaj", W-wa) i odtąd poczciwy ten tytulik błąka się jak duch, skazany na wieczystą pokutę. Każdy, komu w dyskusji o reformie obyczajowej zabrakło argumentów rzeczowych, wydymał cnotliwe usta w ironiczną trąbkę i z artykułu, którego najczęściej nie czytał, cytował te dwa biedne, umęczone słowa. Obecnie wynalazek ten stanowi uświęconą już formułkę ułatwionego... myślenia.

Gdyby nie rozlewna swada złotoustych epigonów p. Skiwskiego, nie byłoby przyczyn powracać do tej sprawy. Epigoni są jednak niezmęczeni i dlatego trzeba wreszcie wyjaśnić spór. Mimo zadawnienia albo raczej — właśnie dlatego, że się zadawnił. Chodzi zresztą o sprawę zasadniczą.

P. Skiwski pisał mniej więcej tak: zwolennicy reformy obyczajów proponują zniesienie wszelkich utrudnień w dziedzinie życia erotycznego, kierując się ideałem letniego hedonizmu. Gdyby jednak ideał ten naprawdę zwyciężył, życie straciłoby wszelki urok; przyjemności byłyby dawkowane w odmierzonych porcjach jak lekarstwo, czyli po prostu — nudne. Tym samym literatura i sztuka byłyby skazane na zagładę, ponieważ równocześnie z ustaniem konfliktów, zabraknie artystom koniecznego surowca do ich dzieł. P. Skiwski przeczuwa wprawdzie, że taka troska na wyrost wygląda groteskowo; przyznaje więc, że ten ideał życia wypranego z konfliktów, jest daleki od urzeczywistnienia i dodaje: „wolno nawet przypuścić, że nigdy urzeczywistniony nie będzie". Święta racja. Jednak zaraz w następnym zdaniu czytamy: „Ale już ta głęboka niechęć do przyjęcia życia jako walki, stwarza dla literatury atmosferę wyraźnie niesprzyjającą". Inaczej mówiąc, zwolennikom reformy obyczajów wmawia p. Skiwski chroniczne unikanie walki i tchórzowski oportunizm, t. j. chorobę naprawdę bardzo szpetną. Tylko, że zarzut taki jest typową mistyfikacją, czymś w rodzaju przysłowiowego wołania złodzieja za złodziejem. Na to bowiem,

aby żyć według ustalonych prawideł, t. j. płodzić po bożemu dzieci, nie troszcząc się o ich przyszłość, aby od czasu do czasu składać wizyty prostytutce lub t. zw. „kochance“, a poza tym wygłaszać moralistyczne orędzia, odwaga jest zbyteczna: trochę gotówki i dużo obłudy — owszem; ale odwaga — nie. P. Skiwski może co prawda przypomnieć, że o tej obłudzie on sam pisał i że — z drugiej strony — zwolennicy reform dążą właśnie do tego, aby przełamać wszędobylstwo t. zw. opinii i urzędów, a tym samym uchronić przed szykanami również ludzi żyjących inaczej; wówczas i oni obejdą się bez cywilnej odwagi. Wszystkie te subtelności wykazują jednak dotkliwą lukę i to z tych względów, które Skiwski pragnąłby wysunąć przeciw zwolennikom reformy. Brak w nich mianowicie ni mniej i ni więcej, tylko w i a r y w s a m o u c z u c i e, w namiętność i w jej przejawy, które p. Skiwski prognąłby obronić w imię bujności i w imię poezji życia. Tak tylko można bowiem tłumaczyć jego lęk, że reformy obyczajowe tę namiętność przekreślą. Tutaj właśnie tkwi źródło nieporozumień, ponieważ my w przeciwieństwie do p. Skiwskiego — wierzymy, że to co w uczuciach ludzkich jest naturalne, cenne i twórcze, jest także trwałe. Drobny przykład: Rosja carska była — jak powszechnie wiadomo — krajem, w którym obowiązywał w dziedzinie płciowej z jednej strony wyjątkowy rygor i bezduszna „moralność“ urzędowa, z drugiej zaś (zwłaszcza w literaturze pięknej) wybujała romantyka; oba te czynniki nie przeszkodziły jednak wcale, że ta Rosja była równocześnie hodowlą zboczeń intelektualnych i uczuciowych, że krzewił się w niej chorobliwy bunt krępowanej konwenansem i niewyżytej wskutek tego młodzieży, a przestępczość na tym polu, zarówno ilościowo jak i jakościowo, wyrażała się niesłychanie dobitnie. Gruntowną zmianę przyniosła dopiero rewolucja, ale zmiana nie odbyła się bez bolesnych wstrząsów. Fakt, że niwelacja obowiązujących przedtem pojęć przypadła na czas wojen domowych i ogólnego rozluźnienia, musiała spowodować karygodną anarchię. „Wyposzczona“ młodzież uznała uczuciową stronę erotyki za burżuazyjny przesąd i korzystając z brzemiennego w wypadki okresu, zredukowała zagadnienie płci do ciasno pojętej fizjologii. Stan rzeczy był istotnie groźny, lecz okazało się, że instynkt miłosny jest silniejszy od rozluźnienia. Utwory literackie, począwszy od „Miłości trzech pokoleń“ A. Kołłontay (wyrażającej ten właśnie stan panującej zrazu anarchii), przez „Pierwszą dziewczynę w komsomole“ Bogdanowa, „Psi zaułek“ Gumilewskiego i „Bez czeremchy“ Romanowa, aż do powieści współczesnych i całkowitą „rehabilitację miłości“ włącznie, obrazują ten rozwój wyraziście.

W tendencji wymienionych utworów krytycy polscy widzieli „bankructwo“ reformy obyczajowej, wykazując tym nie tyle brak pojętości, co zdecydowanie złą wolę. Albowiem faktem jest (przypominam m. i. wystawioną u nas niedawno ko-

medię Katajewa p. t. „Kwiecista droga"), że żaden z tych pisarzy, ani żaden z ich bohaterów nie myśli nawet o powrocie do dawnego kodeksu. W książkach ich nie ma śladu ani kultu dziewictwa, ani apoteozy zazdrości, nie ma nic z podziału dzieci na „ślubne" i „nieślubne". Potępia się natomiast chorobliwą anarchię w dziedzinie płciowej i daje świadectwo, że uczucia — namiętności przetrwały i przetrwają. A efekt? Nienaruszona romantyka prawdziwej miłości, z jej komplikacjami (tak!), lecz komplikacjami tkwiącymi w psychice, a nie w zakłamaniu magnifiki — opinii, i prawie całkowity zanik zboczeń.

Nie chcę przez to powiedzieć, że wszystko co działo się na tym polu w Rosji, trzeba bezdusznie naśladować lub ryczałtem pochwalać. Chodziło mi natomiast o wykazanie, jak „przechytrzone" są obawy p. Skiwskiego i jak jego niewiara w trwałość uczuć nie liczy się z próbą życia. Z tej też przyczyny dużo głębiej, choć również walcząc z wiatrakami, ujął rzecz Karol Irzykowski, w związku z zazdrością: — „...zazdrość miłosna — pisze on — jest z psychologicznego punktu widzenia obsesją, jest czymś jak zawrót głowy nad przepaścią, powtarzaniem wciąż jednego nieodpartego wyobrażenia — i nie można wmawiać w nikogo, że to co robi, nie boli, że jest złudzeniem i śmiesznym przesądem. Filozoficzne rzecz biorąc, zazdrość jest gwałtownym szukaniem równowagi przy zachwianiu się jaźni, opartej dotąd na cudzym ja i zagrożonej teraz przeczuciem nicości; dlatego zazdrość może być tragedią i należy szanować jej prawa jako tragedii, nie prawa do mordu, lecz prawa do własnej głębi". Otóż właśnie o to idzie: o uszanowanie prawa do własnej głębi, ale zwalczanie prawa do mordu. Dodajmy jedynie, że mordu dokonuje się nie tylko za pomocą noża lub kuli, że czasem ten mord, chcociaż mniej fotogeniczny, dokonywany bywa — dzięki panującej dotąd atmosferze — ratami, z dnia na dzień.

Definiując kwestię w ten sposób, niepotrzebnie walczy Irzykowski, biorąc fałszywie igraszki stylistyczne Boya za światopogląd, z „małodusznym hedonizmem" Boya, Russella i Lindseya, z „hedonizmem", który pragnie rzekomo „zagadać zazdrość". Russell pisze przecież („Małżeństwo i moralność") wyraźnie: „Zarówno miłość jak i zazdrość płyną z instynktu, lecz religia orzekła, że zazdrość jest afektem chwalebnym, zasługującym na poparcie społeczeństwa, miłość natomiast, w najlepszym razie, może zostać tylko wybaczona". I gdzież tu jest „zagadywanie zazdrości"? Bo ja widzę w takim sformułowaniu ni mniej i ni więcej, tylko cytowany wyżej — choć w innych słowach — pogląd Irzykowskiego. A może... może i Irzykowski jest „kolporterem Russella", chociaż tylko Boya nazywa w ten sposób?

P. Skiwski motywując tezę, że zwycięstwo omawianych reform „wykończy" literaturę piękną, cytuje Stendhala i wywo-

dzi, że gdyby społeczeństwo, wśród którego pisarz ten wzrastał, hodowało „życiu ułatwionemu“, „nie mielibyśmy w jego powieściach żadnej z tych scen niezrównanych, palących jak ogień“..., ponieważ sceny te uwarunkowane są obowiązującymi dotąd pojęciami i rygorem w sprawach erotycznych. Bez krwiożerczej zazdrości, p. Skiwski jakoś sobie nie wyobraża dramatycznych konfliktów. Szkoda tylko, że p. Skiwski, pisząc ten artykuł nie pamiętał powieści autorów tej miary, co Stanisław Brzozowski i André Malraux, gdyż wtedy nie postawiłby prawdopodobnie takiego zarzutu. Albowiem bohaterowie i Brzozowskiego i Malraux stoją mocno na gruncie przekonania o całkowitej wolności kobiety, a konflikty ich rodzą się z walki między rozumem a instynktem. W wyniku tego rodzaju rozmyślań, bohater „Doli człowieczej“ dochodzi do głębokiego wniosku, że „uznać swobodę kogoś innego, to znaczy tyle, co usprawiedliwić go wbrew własnemu cierpieniu...“. Świata takich konfliktów p. Skiwski już jednak nie przewidział.

* *
*

W dyskusji dotyczącej reformy obyczajów przeciwnicy tego ruchu zwracają często uwagę, że ruch zajmuje się jednym tylko odcinkiem rzeczywistości i jej bolączek, a więc żadną miarą nie można uważać go za światopogląd. Nic słuszniejszego, ale też nikt o miano ideologii dla tego ruchu nie zabiega, zostawiając każdemu zupełną swobodę społecznych i politycznych poglądów. Osobiście zgadzam się również i silnie podkreślam, że bez walki o zasadniczą zmianę warunków, nie możliwą jest całkowita przemiana nawet na tym odcinku, wreszcie — że walkę o nową rzeczywistość cechować musi gotowość do ofiar i zdobywcza postawa. Jednak tutaj właśnie natrafiamy ponownie na historiozofię p. Skiwskiego, który — zachęcony snadź oddźwiękiem pierwszego artykułu — napisał dwa dalsze, t. j. „Jeszcze raz życie ułatwione“ („Naprzełaj“) i „Złudzenia hedonizmu“ („Pion“ 1934. Nr. 17). W artykułach tych występuje p. Skiwski przeciwko upatrywania celu ludzkich zabiegów w t. zw. szczęściu, albowiem nie ono jest — według niego — istotą pożądań wartościowego człowieka, lecz „zwycięstwo w walce życiowej“. W następstwie, p. Skiwski nie znajduje dość ostrych słów potępienia dla „mięczaków“, którzy mimo wszystko łakną szczęścia. Stanowisko takie, chociaż p. Skiwski wyłuszcza je z powagą odkrywcy, w gruncie rzeczy jest starym i słusznym stanowiskiem antieudajmonizmu, ale stanowiskiem gruntownie w stosunku do wzorów spłyconym i na tym spłyceniu właśnie polega jego niebezpieczeństwo. Klasyczny antieudajmonizm również głosił walkę i samowyrzeczenie się, lecz nie walkę dla walki, tylko walkę o określony ideał. Żądał ofiar nie dla ofiar, lecz na to, aby tym co przyjdą, było... lepiej. Te dążenia i to żądanie ofiarności dotyczyło i dotyczy nawet najdalej

w przyszłość wysuniętych pokoleń, bo żywioł istnienia — mówiąc językiem Brzozowskiego — zawsze podyktuje nowe zadania. Jednak taka tylko walka ma sens. Natomiast hasło „walki dla walki“ sensu nie ma i dlatego stanowi wyznanie wiary różnego rodzaju kondotierstwa.

W związku z tym, pozostaje również kwestia obłudy. P. Skiwski widzi jej źródło w praktycznej niewykonalności etycznego maksymalizmu, t. zn. zbyt rygorystycznych nakazów *). Ujęcie takie jest jednak — znowu — spłyceniem zagadnienia, bo znamy przecież nakazy, które są surowsze od tych o jakie idzie p. Skiwskiemu, a mimo to bywają sumiennie przez całe zespoły ludzi przestrzegane. Nie! Obłuda nie jest następstwem tylko surowych nakazów, lecz braku silnej wiary w celowość lub w sens nakazów określonych. I teraz możemy już odpowiedzieć na czym polega ten „hedonizm ułatwiaczy“: nie na unikaniu walki, lecz na niwelacji tych i takich, o których rzeczywistość poucza, że nie mają sensu.

Na koniec kilka słów o wpływie tych reform na sztukę: bronić „poezji“, uwarunkowanej nietykalnością głupich rygorów, to tyle, co pragnąć odrodzenia poezji osiemnastowiecznej wytworności, czyli uroczych markiz w krynolinach i w falbanach, ale posiadających za to — zamiast mydła — złote młoteczki do uśmiercania robactwa, które na brudnej bieliźnie bujnie — pod wytwornymi falbanami — się mnożyło. Co do mnie, to przyznaję ze skruchą, że wolę już bez falban, ale czyste... Ci, którzy — jak romantycy minorum gentium w pierwszej połowie XIX w. — budują celowo fikcyjne przeszkody z myślą o poezji, muszą zrozumieć, że poezja, która z fikcji takich czerpie natchnienie, nie jest już w gruncie rzeczy poezją, lecz tylko poezyjnością, tylko tanią i tandetną namiastką prawdziwej poezji.

Wcześniej niż p. Skiwski ostrzegał przed „życiem ułatwionym“ A. Huxley zrazu w dygresjach („Dwie, albo trzy gracje“), potem w karykaturalnej powieści p. t. „Nowy, wspaniały świat“. Z okazji tego ostatniego utworu słusznie ktoś zauważył, że obecne położenie ludzkości, epoka wzrostu obłędu z jednej, a rozpaczy z drugiej strony, nie bardzo się nadaje do ostrzeżeń przed fatalnymi następstwami szczęścia. W szpitalu nie wypada obrzydzać zdrowia. Chodzi jednak o inną rzecz: w powieści Huxleya, dzikus zgnębiony niewolą wygody i konfortu, również woła: „Chcę... poezji... Chcę grzechu. Żądam prawa do nieszczęścia, starości, brzydoty i niedołęstwa (!); prawa do syfilisa i raka; do głodu, do tyfusu; do wszy; do życia w ciągłym strachu przed jutrem!...“ Postulaty te nie są tylko literacką metaforą. Idąc po linii przesłanek Huxleya czy p. Skiwskiego, na-

---

*) Idzie mi tylko o tę właśnie filozoficzną podbudowę wywodów Skiwskiego, a nie o jego hasła praktyczne („liberalne prawa i mocna dyscyplina obyczajowa“).

leżałoby syfilis, raka, głód, tyfus, wszy oraz inne rekwizyty tej „poezji" również otoczyć troskliwą opieką. Nas jednak — trudno! — taka „poezja" nie nęci. Ci, którzy pożądają jej, niechby już wymienione jej składniki i hodowali; byle tylko ich izolować, byle tylko nie zarażali ludzi zdrowych i niezawszonych.

Poezja heroicznej walki o cel — owszem. Walka o poezyjność opartą na głupich fikcjach — nigdy. Albowiem z „poezją" taką jest jak z konsystorskimi dziewicami: bywa brzydko łatana.

Maksymilian Boruchowicz.

LUDWIK SZCZEPAŃSKI

Narzeczeni

Gdyby można w różne zakryte, bo prywatne dziedziny, związane z **życiem seksualnym,** wkroczyć z latarnią **statystyczną** w ręku i zdobyć ścisłe dane cyfrowe, uzyskałoby się z pewnością sporo materjału, ilustrującego **stan kultury** odnośnego społeczeństwa i jego **obyczaje.** Niejeden utarty pogląd okazałby się obłudną fikcją; niejedna zasłona, przez moralistów w rodzaju ś. p. Tartuffe'a skrzętnie rozpinana, poszłaby w strzępy... Ścisłe dane statystyczne przydałyby się nieraz w walce o **reformę seksualną.** Ale o ścisłe informacje i cyfrowe ich ujęcie jest bardzo trudno w sprawach seksualnych — i żaden urząd statystyczny nie wnika w pewne zagadnienia i nie potrafi zebrać niektórych dat. W dyskusji operujemy domysłami, przypuszczeniami, wnioskami wyciągniętymi z nielicznych zazwyczaj spostrzeżeń, przy czym współczująca wnikliwość literacka, sięgająca śmiało w głąb życia, nadrabia braki autentycznych dat statystycznych.

Czyż np. nie byłoby ciekawym określić cyfrowo rozrodczość tych ekonomistów, polityków i społeczników, którzy najgłośniej protestują przeciw hasłu regulacji urodzeń? Zbadać, ile też dzieci mają te panie, które najbardziej gorszą się na wiecach niemoralnością świadomego macierzyństwa? (Próbowano takie daty uzyskać odnośnie do lekarzy — i okazało się, że w Polsce na małżeństwo lekarskie wypada przeciętnie półtora dziecka).

Urzędy statystyczne wykazują ilość dzieci ślubnych i nieślubnych, ale kto zna naprawdę — straszliwą! — statystykę wypadków **przerywania ciąży** oraz **chorób kobiecych i śmierci,** spowodowanych partackim przeprowadzeniem tego zabiegu? Znamy **ilość zawartych małżeństw** i **ilość rozwodów,** ale kto określi **ilość małżeństw niedobranych, nieszczęśliwych,** które nie rozchodzą się tylko dlatego, że partnerom brak pieniędzy na koszta rozwodowe i prowadzenie dwu odrębnych gospodarstw? Ubolewać się zwykło nad losem dzieci, których rodzice się rozeszli, ale wartoby też stwierdzić ilość dzieci, dla których szczęściem byłoby, gdyby się wychowywały poza obrębem piekła niedo-

branego małżeństwa. Interesujące wnioski możnaby też wyciągnąć ze statystyki wypadków t. zw. **zdrady małżeńskiej**. Ale nigdy nie poznamy prawdziwych cyfr w tej mierze.

Przypadkiem natrafiliśmy w tych dniach na wielce ze względów **obyczajowych** ciekawe i godne rozwagi cyfry, tyczące się t. zw. (po niemiecku) „Brautkinder", czyli **dzieci pierworodnych**, zrodzonych przed upływem dziewięciu miesięcy od dnia zawarcia małżeństwa, z czego wynika, że są one owocem stosunku zaszłego w okresie **narzeczeństwa małżonków**. Odnośne dane statystyczne są tym cenniejsze, że były wielce trudne do uzyskania, bo tylko specjalista zdoła je wyszukać w publikacjach nielicznych urzędów statystycznych, które takie „drażliwe" obliczenia przeprowadzają, ale do publicznej wiadomości nie kwapią się podawać. Ogłoszone one zostały przez **szwajcarski Związkowy Urząd Statystyczny** w Bernie (Eidgenössisches Statistisches Amt) — z przyczyny dość pikantnej.

Oto we „Frankfurter Zeitung" (nr. 426 z września b. r.) ukazała się (z powodu wyroku w pewnym procesie przed sądem kraj. w Wuppertal) notatka p. t. „Verlobte", w której redakcja przytoczyła pismo pewnego szwajcarskiego urzędnika biura statystycznego, informujące, że przeszło **25% dzieci pierworodnych w Szwajcarii** — zaliczyć należy do kategorii „Brautkinder".

Cyfra ta wydała się sensacyjną i rzuciła światło na swobodę obyczajową i temperament erotyczny młodzieży szwajcarskiej. Dyrekcja „Eidgenössisches Statistisches Amt" w Bernie wystosowała do „Frankfurter Zeitung" następujące pismo, ogłoszone w nrze 454 tejże gazety z 5 września 1936 r.:

> „Informacja, podana redakcji „Frankf. Ztg." przez pracownika Urzędu Statystycznego, że w Szwajcarii **czwarta część dzieci pierworodnych** pochodzi z czasu **przed zawarciem małżeństwa**, odpowiada istotnie prawdzie. Że jednak niestety nie przydano cyfr porównawczych odnośnie do innych krajów, może łatwo powstać wrażenie, jakoby Szwajcaria z obfitością swoich „Brautkinder" stanowiła wyjątek. Tak bynajmniej nie jest. Przeprowadzenie porównania w skali międzynarodowej będzie bardzo ograniczone, bo tylko nieliczne kraje dysponują odnośną statystyką. Niemniej jednak istniejący materiał wystarcza, aby Szwajcaria ukazała się w trochę lepszym świetle. I tak w roku 1930 na sto dzieci pierworodnych było „Brautkinder", czyli dzieci zrodzonych przed upływem 9 miesięcy małżeńskich: we **Francji 17**, w **Italii 27**, w **Szwajcarii 29**, w **Australii** i **Nowej Zelandii 37**, w **Saksonii 51**.
>
> Ale ta cyfra „przedślubnego potomstwa" obejmuje tylko część dzieci nie spłodzonych w łożu małżeńskim. Należy uwzględnić ogólną **ilość dzieci nieślubnych**. A ta cyfra jest w Szwajcarii bardzo niska, stosunkowo niższa niż prawie we wszystkich innych krajach europejskich, co nasuwa wniosek, że w Szwajcarii wiele par legalizuje

swój związek, skoro spodziewają się dziecka. Badając, ile w ogóle rodzi się dzieci nieślubnych albo poza małżeństwem, otrzymujemy za rok 1930 następujące cyfry procentowe: w Italii 11, Francji 13, Szwajcarii 14, Australii i Nowej Zelandii 15 do 16, Szwecji 30, Saksonii 37. A więc pośród tych krajów Szwajcaria zajmuje wcale poczesne miejsce. W jakim stopniu stosunki w Saksonii zmieniły się pod nowym rządem niemieckim, nie podobna chwilowo stwierdzić na zasadzie nowszych danych; w każdym razie dane z ostatnich lat zasługiwałyby na najbaczniejszą uwagę. Wreszcie godzi się jeszcze zaznaczyć, że owe wykazane dla poszczególnych krajów różnice nie mogą być tak poprostu moralnie wartościowane, bo dadzą się też tłumaczyć odmiennymi warunkami społecznymi".

Redakcja „Frkf. Ztg." zaopatrzyła pismo szwajc. Urzędu Statystycznego w następujący dopisek:

„Przytoczone przez nas cyfry, odnoszące się do Szwajcarii, nie miały wcale służyć do przygwożdżenia jakiegoś „wyjątkowego wypadku", lecz przeciwnie mają unaocznić charakter **typowy i ilościowe znaczenie stosunków przedślubnych dla problemu małżeństwa.** Dane co do Saksonii zaczerpnięte są prawdopodobnie z badań „Związku publicznej i prywatnej opieki społecznej" (Verein für öffentliche und private Fürsorge) z roku 1934; dla międzynarodowego porównania należałoby właściwie przytoczyć cyfry, odnoszące się do Niemiec, jako całości, ale i nam nie znane są badania, dotyczące całej Rzeszy niemieckiej. Moralną miarę przykładać można tylko do wypadku jednostkowego, ale z pewnością nie do „międzynarodowych porównań".

Statystyka powyższa, jakkolwiek niekompletna, z pewnością zasługuje na uwagę. Warto zapamiętać powyższe cyfry, które przydadzą się w dyskusji o zagadnieniach seksualnych.

Ludwik Szczepański.

DR PAWEŁ KLINGER

Sterylizacja mężczyzn

Od szeregu lat toczy się u nas i w wielu krajach zachodnich zaciekła walka o t. zw. „legalizację poronień" czyli o prawo przerywania ciąży nie tylko ze względów czysto lekarskich, lecz i z motywów społecznych oraz indywidualnych. U nas przynajmniej wszystkie nadzieje zawiodły, albowiem **nowy Kodeks Karny,** który tę sprawę traktować miał znacznie liberalniej, pozostawił tę kwestię w stanie poprzednim, to jest **uznaje tylko wskazania lekarskie;** wszelkie inne motywy nie są brane pod uwagę i przerywanie jest karalne dla obu stron, t. j. zarówno

dla kobiety poddającej się zabiegowi, jak i dla osoby zabieg ten wykonującej.

Nie trudno się domyśleć, do czego to prowadzi. Życie jest wszak silniejsze od martwej litery prawa, które siłą warunków życiowych zostaje pomijane, a tym samym dyskredytowane. Na tej platformie prawnik i społecznik zejść się nie mogą; należy zatem poszukać innego wyjścia, które niewątpliwie się znajdzie. Szukać należy tym bardziej, że zabieg przerywania ciąży dokonany nawet przez najlepszego specjalistę nie jest zupełnie bezpieczny i zawsze grozić może poważnymi konsekwencjami.

Takim **idealnym wyjściem jest zapobieganie ciąży.** Po cóż przerywać ciążę, skoro możemy wcale do niej nie dopuścić. Poza tym o ile przerywanie jest karalne, o tyle zapobieganie nigdy nie było u nas obiektem zainteresowania prawa. Jednak tak prostą ta kwestia nie jest, gdyż **medycyna nie wynalazła dotychczas absolutnie pewnego środka zapobiegawczego ciąży.** Możemy natomiast ochronić kobietę od niepożądanej ciąży, jeśli wysterylizujemy mężczyznę, to znaczy uczynimy jałowym jej partnera. Jest to niewielki chirurgiczny zabieg, technicznie łatwy, krótkotrwały i zupełnie bezpieczny. Robi go się przeważnie ambulatoryjnie, bez narkozy ogólnej, a tylko w miejscowym znieczuleniu.

Na czym polega ta operacja? Jądra produkują stale plemniki, które dzięki własnemu ruchowi przedostają się do pęcherzyków nasiennych przez t. zw. nasieniowody. Z pęcherzyków przedostają się one podczas wytrysku nasienia do organów rodnych kobiety i zapładniają ją.

Jeśli światło nasieniowodów zostało zamknięte, wówczas plemniki nie mogą tej drogi odbyć i, mimo że produkcja ich w jądrach nie ustaje, mężczyzna taki jest bezpłodny, aczkolwiek nie traci popędu płciowego. Przeciwnie, mężczyźni ci nabierają szczególnego młodzieńczego wigoru i to nie tylko pod względem seksualnym i cielesnym, lecz nawet i duchowym. Jest to analogia do sławnego zabiegu odmładzającego Steinacha, o którym pomówimy obszerniej w specjalnym artykule. Zamknięcie bowiem nasieniowodów powoduje w końcu zaprzestanie produkcji plemników w jądrach i obumarcie komórek nasieniotwórczych. Tym bujniej rozrastają się wówczas komórki międzytkankowe (Leydiga) o funkcji wewnątrzwydzielniczej, powodując odmładzanie ustroju.

Widzimy zatem, że **operacja ta, sterylizując mężczyznę, nie tylko nie przynosi mu szkody, lecz działa w pewnej mierze dodatnio**; prawda, że efekt odmładzający nie trwa zbyt długo i po roku, dwóch, stan ustroju jest taki sam, jaki był przed zabiegiem. Natomiast **trwałym pozostaje tylko efekt sterylizacyjny. Operacja ta polega na podwiązywaniu nasieniowodów**, względnie na przecięciu ich. Zabieg ten wywołuje trwałe ubezpłodnienie mężczyzny, albowiem przy obecnym stanie chrurgii nie

możemy ponownie zrekonstruować drożności nasieniowodu przez zeszycie kikutów.

A teraz wyjaśnić należy kwestię wskazań do tej operacji. Przede wszystkim wskazana jest tego rodzaju operacja ze względów **eugenicznych**. Zrozumiano to już dawno w Ameryce i w niektórych państwach europejskich, wprowadzając np. przymusową **sterylizację zbrodniarzy-recydywistów i chorych umysłowo**. Nie ulega wąpliwości, że sterylizując ludzi ciężko dziedzicznie obarczonych, od których nie możemy się spodziewać pełnowartościowego potomstwa, przeciwdziałamy zwyrodnieniu rasy ludzkiej. Jest to jeden z najważniejszych postulatów nowoczesnej eugeniki. Oprócz wskazań eugenicznych istnieją bardzo liczne **wskazania** do tego zabiegu **natury społeczno-indywidualnej**, a więc zły stan materialny małżeństwa, nie pozwalający im na płodzenie potomstwa, względnie istniejące już liczne potomstwo, praca zawodowa żony, którą ciąża mogłaby pozbawić chleba i wiele innych jeszcze motywów, choćby natury czysto indywidualnej. Widzimy zatem, że wskazań do tego zabiegu nie brak. Jeśli chodzi o małżeństwa, które nie mogą lub nie chcą z tej lub innej przyczyny mieć dzieci, to **operacja ta byłaby idealnym rozwiązaniem kwestii**, tym bardziej, że jest zupełnie bezpieczna. Poza tym byłaby wyrównaniem niesprawiedliwości, jakiej dopuściła się natura względem kobiety, jeśli chodzi o życie płciowe, którego wszelkie konsekwencje, często związane z niebezpieczeństwem życia, ponosić musi dotychczas zawsze kobieta.

Chodzi jednak o to, jak na to zagadnienie zapatruje się prawo? Czy zabieg ten jest również wzbroniony, jak i przerywanie ciąży? Otóż zabieg ten aczkolwiek nie jest obiektem bezpośrednim naszego Kodeksu Karnego, jednak mógłby być podciągnięty pod Art. 235, § 1. p. a), który głosi, że **„kto pozbawia człowieka wzroku, słuchu, mowy, zdolności płodzenia, podlega karze więzienia do lat 10“**. Ponieważ zabieg sterylizacyjny pozbawia mężczyznę płodności, to lekarz, który go wykonywa może popaść w konflikt z Kodeksem Karnym.

Przed kilku laty zdarzył się w Austrii podobny wypadek, że lekarz, i to w dodatku profesor, z przekonania socjalista, zrobił kilkaset tego rodzaju operacji na życzenie pacjentów i został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej. Dobrze jeszcze, że sędziowie zakwalifikowali zabieg ten jako lekkie uszkodzenie ciała; wymierzono mu wówczas 15000 szyllingów grzywny. Wylania się wobec powyższego nowe pytanie, a mianowicie: niekaralności sterylizacji mężczyzny. Jeśli zapobieganie ciąży nie jest w zasadzie czynem karalnym, to i sposób, jakim cel ten się osiąga, nie powinien być przez prawo wzbroniony, tym bardziej, że jest to zabieg zupełnie bezpieczny w rękach wykwalifikowanego chirurga.

Nie ulega już dziś wątpliwości, że w zagadnieniu tak par excellence socjalnym, jak zapobieganie ciąży i związana z nią sprawa populacji, glos powinni mieć nie tylko prawnicy, lecz i lekarze oraz społecznicy, którzy się znają na bolączkach społecznych i skuteczniej nieraz znaleźć mogą drogę do ich usunięcia, niż strażnicy martwej często litery prawa.

Paweł Klinger.

INŻ. HENRYK JASIEŃSKI

Bałamuctwo i banały

Zdumiewające jest, jak rzeczy oczywiste i zupełnie proste bywają zaciemniane, bałamucone i tłumaczone na opak; i jak te opaczne tłumaczenia, nieraz krzycząco nieprawdziwe zyskują sobie powszechne prawo obywatelstwa i bywają powtarzane do nieskończoności bez żadnej zmiany, żadnej kontroli... i żadnego protestu.

W encyklopedii „Ultima Thule“ pod nagłówkiem **„Maltuzjanizm“** czytamy następujące zdanie:

> „Doktrynie Malthusa kłam zadało życie. Wraz ze wzrostem dobrobytu i cywilizacji, a podnoszeniem się stopy życiowej, przyrost naturalny ludności znacznie się zmniejsza lub zupełnie ustaje; nowa zaś organizacja pracy i technika rolna tak podniosła wydajność roli, że dziś rynek nie jest w stanie zużyć nadmiaru produkcji“.

Twierdzenie takie spotykamy nie po raz pierwszy. Owszem, spotykamy się z nim bardzo często. Należy ono do stałego repertuaru argumentów skierowanych przeciw tendencjom celowego ograniczania przyrostu ludności i powtarza się w tym charakterze w niezliczonej ilości broszur, artykułów i wzmianek dziennikarskich. W gorącej chęci zdyskredytowania doktryny Malthusa i wypływających z niej praktycznych konsekwencji, zwraca się tu przeciw niej fakty rzeczywiście zachodzące, ale wcale z nią nie sprzeczne, starając się wywołać wrażenie w umyśle bezkrytycznego czytelnika, że fakty te w niej się nie mieszczą i że ją obalają wraz z wyciąganymi z niej wnioskami.

Cóż jednak mówi o **przyroście ludności** „doktryna“ Malthusa, będąca zresztą nie tyle „doktryną“, ile raczej **orientacyjnym schematem liczbowym?** Mówi po prostu, że przyrost ludności niczym nie powstrzymywany, **odbywałby** się wedle postępu geometrycznego. Istotnie, jak to łatwo wyliczyć, przy czworgu, sześciorgu albo dwanaściorgu dzieciach na rodzinę, co jest fizycznie zupełnie możliwe, a do niedawna było wcale powszechne, przyrost **niczym nie regulowany,** odbywaćby się musiał wedle postępu 2, 4, 8, 16...

Jeśli w rzeczywistości żadne zbiorowisko ludzkie nie wzrastało nigdy w takim tempie, to nie dlatego, żeby schemat cyfrowy Malthusa był fałszywy, ale po prostu dlatego, że przy-

rost bywał zawsze „regulowany", t. j. powstrzymywany bądź to w sposób „naturalny" przez wysoką śmiertelność dzieci i ludzi młodszych, bądź też „sztucznie" przez świadome i celowe ograniczenie ilości urodzeń. A działanie tych czynników Malthus przecież znał i uwzględniał w swoich rozważaniach — i wmawianie w czytelnika, że nic o nich nie wiedział i że one jego doktrynie „kłam zadają", jest albo nieporozumieniem, albo umyślnym naciąganiem faktów.

Możnaby za to poważnie zakwestionować drugą dopełniającą tezę Malthusa o owych środkach żywności, rosnących jakoby wedle postępu arytmetycznego. Ten drugi schemat jest rzeczywiście zupełnie dowolny — i nie odpowiada żadnemu procesowi zachodzącemu w rzeczywistości. **Obszar uprawny** gdzieś na pustynnym stepie może zrazu wzrastać wedle postępu równie dobrze arytmetycznego, jak i geometrycznego, i przyrost jego nie da się ująć w żadną formułę cyfrową. Ale to wzrastanie ma swój rychły kres, a **wydajność ziemi** raz wziętej pod uprawę, po osiągnięciu pewnej wysokości, nie daje się już podnieść żadnymi środkami.

Jeżeli też t. zw. rynek nie jest dziś w stanie pochłonąć rzekomego nadmiaru produkcji, to wcale nie dlatego, żeby na produkty wszelkiego rodzaju brakło chętnych, a nieraz i zgłodniałych konsumentów, ale tylko dlatego, że utrudnienia wymiany, wynikające z nieufności między państwami, uniemożliwiają transport produktów z miejsc nadmiaru na miejsca niedostatku i zapotrzebowania i powodują marnowanie się tych produktów na miejscu.

Przestańmy zresztą grać w ciuciubabkę i udawać, że przy rozważaniu zagadnień ludnościowych chodzi wyłącznie tylko o te środki żywności. I nie wyobrażajmy sobie również, jak nam to chcą wmówić, że czynniki hamujące przyrost ludności działają automatycznie w wystarczającym stopniu. Spadek ilości urodzeń zaznacza się rzeczywiście coraz wyraźniej w ostatnich dziesiątkach lat, ale mimo tego o jakiej takiej stabilizacji ludności można mówić zaledwie w kilku krajach najbardziej kulturalnych, jak Francja, Szwajcaria i kraje skandynawskie. Inne i znacznie większe skupienia ludności, jak Japonia, Rosja oraz Polska wzrastają nadal w sposób horendalny.

Choć nigdy nie wzrastało wedle postępu geometrycznego, zaludnienie ziemi wzrosło jednak w ostatnich stu latach do podwójnej wysokości.

W krajach starych zagęszczająca się ludność wyniszczała lasy *), oszpecała krajobraz przez jego skrajne wyzyskanie, tworzyła ogromne i ohydne skupienia miejskie. Oprócz tego po-

---

*) Pod koniec wieku XVIII Polska liczyła około 11 milionów ludności i miała około 40% powierzchni zalesionej. Dziś ma przy 33 milionach ludności powierzchni zalesionej 20%. A jakżeż będzie, jeśli się tego procesu nie powstrzyma, przy 40, 50 itd. milionach ludności?!

tworne fale wychodźcze zalewały ogromne obszary dotychczas nie zajęte, wyniszczając na nich pierwotny świat roślinny i zwierzęcy, zapaskudzając całą powierzchię ziemi bezbarwną europejską brzydotą i tandetą.

To też człowiekowi myślącemu trwałymi kategoriami kulturalnymi, a nie tylko wedle doraźnych racyjek konkurencyjno-politykierskich, konieczność jak najszybszego całkowitego powstrzymania dalszego przyrostu ludności narzuca się dzisiaj znacznie bardziej niż za idyllicznych, w porównaniu z naszymi, czasów Malthusa.

Prawdę mówiąc dla powstrzymania postępujących zniszczeń pożądane jest nie tylko powstrzymanie dalszego przyrostu ludności, ale nawet znaczne obniżenie cyfry obecnego zaludnienia ziemi, które, jak to widzimy z rozlicznych oznak, nawet bez dalszego przyrostu i przy bardzo niedostatecznym zaspokojeniu potrzeb większości ludzi wyzyskuje już zasoby przyrody powyżej możności ich regeneracji.

Henryk Jasieński.

DR ANDRÉ MORIN

Sytuacja prostytutki we Francji pod względem prawnym

Dr André Morin, członek **Międzynarodowej Federacji Abolicjonistycznej w Genewie** („Fédération abolitioniste internationale"), b. prezes i sekretarz generalny sekcji francuskiej, do którego zwróciliśmy się przez naszych przyjaciół w Paryżu z prośbą o współpracę, przesłał nam następujący treściwy, informacyjny artykuł, który w przekładzie zamieszczamy.

Prawna sytuacja prostytutki nigdy nie została we Francji ściśle określona. Prostytutka nie jest przestępczynią, gdyż prostytucja nie jest przestępstwem, co stwierdziły najwyższe autorytety prawnicze na specjalnych komisjach różnych zjazdów. Nie można zaliczyć jej do żebraczek, gdyż świadczy coś wzamian za pieniądze, których się domaga, ani obwiniać jej o włóczęgostwo: posiada przecie mieszkanie i trochę pieniędzy.

A jednak w stosunku do tej kobiety, która nie popełnia żadnego przestępstwa, stosuje się zarządzenia, pochodzące z czasów Ludwika XIV i XV. Niektórzy rygoryści, nie czując się dosyć bezpiecznymi poza plecami tych osobistości, powołują się nawet na dekrety św. Ludwika.

Rewolucja, znosząc przez ogłoszenie praw człowieka wszelkie jurysdykcje nie oparte na obowiązujących ustawach, usunęła także owe przepisy. Gdy Napoleon układał swój kodeks, nie wspomniał wcale o prostytucji, a tylko w jednym artykule ustanowił, że wszystko, co nie jest przewidziane przez nowy kodeks, normowane ma być według dawnych przepisów. I oto całe prawne uzasadnienie obecnego systemu.

A prostytucja istnieje we Francji i jest praktykowana przez trzy rodzaje kobiet:

Kobiety w domach publicznych, bezwolne narzędzia rozkoszy, zupełnie wydane (wbrew przeciwnym twierdzeniom) na łup gospodarza i jego klientów, które często nie mają wcale możności wydostania się na wolność.

System domów publicznych zniesiony prawie we wszystkich krajach z wyjątkiem Francji jest szczególnie niebezpieczny z punktu widzenia zdrowotnego, ponieważ kobieta musi przyjmować każdego klienta, możliwie największą ilość klientów. Nadzór lekarski, mimo pewnego postępu technicznego, paraliżowany jest przenoszeniem się kobiety z zakładu do zakładu

Drugi rodzaj kobiet, to kobiety z książeczką, a raczej z kartką. Policja aresztuje podejrzaną, wciąga na haniebną listę, bez świadka, bez adwokata, bez możności przeprowadzenia przeciwdowodów. Jest to jedyna urzędowa formalność, którą przeprowadzić może, albo której ulec może kobieta zamężna bez potrzeby uzyskania zgody męża.

Taka prostytutka jest zobowiązana do regularnych wizyt, od których może wymigać się na trzy sposoby: albo dzięki stosunkom osobistym, lub stanowisku swych klientów, albo przez opuszczenie miasta tuż przed wizytą, albo na zasadzie pomysłowego systemu, zwanego „conde", polegającego na dobrowolnej i nieoficjalnej opłacie stałego haraczu. Przez wciągnięcie na listę kobieta jest praktycznie pozbawiona możliwości jakiegokolwiek innego zarobku, gdyż gdziekolwiek znajdzie zajęcie, przyślą jej wezwanie do wizyty sanitarnej. Nawet gdy wyjdzie za mąż. Jest to mniej brutalna forma niewolnictwa, aniżeli niewolnictwo domu publicznego, niemniej jest niewolą — a nawet jeżliby ktoś chciał wciągnięcie na listę traktować jako karę, to sprzeciwia się to elementarnemu poczuciu prawa, aby policjant, choćby wyższej rangi, mógł skazywać kobietę na karę dożywotnią za przestępstwo nie przewidziane przez prawo.

Jest jeszcze trzecia kategoria prostytutek „niepodległych", t. j. takich, które mają szczęście bądź dzięki swym stosunkom, bądź stanowisku swych klientów uchodzić książeczkom, obławom i innym zarządzeniom policyjnym, lub które wykonują obok prostytucji jakiś uboczny, lub główny zawód. Z nich to rekrutują się najczęściej dziewczęta domów publicznych lub z książeczkami. Ta kategoria jest najliczniejsza a korzysta z tych samych praw co każda kobieta we Francji zamężna lub stanu wolnego.

André Morin.

KAROL MÜLLER

Prostytucja w Krakowie

(Reportaż)

Szedłem pewnej nocy ulicą Pijarską. Wśród nielicznych przechodniów popłoch i zamieszanie. „Panie najukochańszy — zaczepiła mnie wystraszona kobieta—niech pan pozwoli pójść ze sobą kawałek, bo jest obława, do budy mnie wpakują". Zgodziłem się dobrodusznie. Przeszedł wywiadowca, popatrzył, poszedł dalej. Prostytutka nawiązała ze mną rozmowę, opowiedziała mi różne szczegóły z życia ulicy. Zainteresowałem się. Postanowiłem przekonać się naocznie, jak sprawa prostytucji w Krakowie rzeczywiście wygląda.

Była sobota dn. 6 lipca, kiedy otrzymałem pozwolenie od starosty grodz. p. Pałosza na zwiedzenie przychodni **sanitarno-obyczajowej w Krakowie.** Cenię sobie to pozwolenie, jako że jestem jedynym dziennikarzem krakowskim, który takie pozwolenie otrzymał. Stawiłem się w poniedziałek w przychodni przy ulicy Kanoniczej 24. Jest to stary dom, dawny „Telegraf". Z sieni na prawo znajduje się wąski korytarz, w którym siedziało kilka kobiet o wyniszczonych pospolitych twarzach. Jedna z nich czarno ubrana, apatycznie przyglądała się końcom swoich bucików. Na widok referenta druga jeszcze całkiem młoda, dobiegła do niego z pozdrowieniem — „Całuję rączki, panie referencie", chciała się o coś zapytać...

Przechodzimy dalej, skręcamy w bok: sala przesłuchań i badań, przedzielona na dwie części. W pierwszej części urzęduje referent i pomocny

mu wywiadowca, a w drugiej lekarz i asystentka-pielęgniarka. Do sali przesłuchań przyprowadzono 7 **alfonsów**. Twarze młode. Referent zapytuje pierwszego: Jak się nazywa wasza narzeczona? Odpowiedź brzmi: „Jeszcze się taka nie urodziła". Referent zna ich wszystkich doskonale, orientuje się wyśmienicie, wie, kiedy i jakie pytanie zadać. Posłuchajmy, co mówi inny: „Pracuję na galarze, jestem żonaty. Nie ma powodu mnie podejrzewać, żebym żył z cudzego nierządu, a że stałem z prostytutką, to niczego nie dowodzi". Referent ogląda delikatne ręce rzekomo pracującego na galarze. Wyrok: tydzień aresztu. W międzyczasie sala powoli zapełnia się. Podchodzi znowu 5 alfonsów. Siedzę przy referencie i mam możność dokładnego obserwowania wszystkich. Widzę młodocianego, bo dziewiętnastoletniego chłopca, w dzień handlarza ulicznego słodyczami, a w nocy wałęsającego się po peryferiach i terrorem zmuszającego prostytutki do oddawania mu zarobionych pieniędzy. Jest już notowany jako sutener; dostaje tydzień bezwzględnego aresztu. Przed referentem staje inny typ. W czasie doprowadzenia go na komisariat, zbiegł. Chłopak, który skończył sześć klas gimn. zaczął grać w karty, no i polubił stałe towarzystwo prostytutek. Przychwycony na gorącym uczynku sutenerstwa, stara się zwalić ze siebie winę. Powołuje się na szwagra, poważnego obywatela. Tymczasem szwagier, do którego się zwrócono w tej sprawie, oświadczył, że będzie zadowolony, jeśli skarze się chłopaka na kilka miesięcy więzienia. W rezultacie wyrok opiewał: 5 dni aresztu. Z kolei wysoki dryblas, twarz opryszka, z zawodu handlarz jarzyny i owoców na placu Szczepańskim, twierdzi, że jest porządnym człowiekiem. Z prostytutką stał przypadkowo. Na zwróconą uwagę, że przecież był karany za kradzież, odpowiada z miejsca: „Złodziejem mogłem być, ale nie jestem". W końcu zostaje wypuszczony na wolność. Spraw pozostałych alfonsów już nie opisuję; każdy z nich mówił, że jest niewinny, a prawie każdemu z nich udowodniło się winę, no i prawie każdy z nich powędrował do aresztu.

W rogu sali stoi wiadro z wodą. Przy wiadrze garnek. Kto ma ochotę, czerpie garnkiem wodę i pije. Z za drewnianego przepierzenia słyszę w swoistym języku prowadzoną rozmowę: — „Ja nie dam się badać". — Drugi głos nalega: — „Nie rób kawałów, podnieś kieckę".

Ja tymczasem zadaję pytania stojącym w pobliżu prostytutkom. Po sali kręci się jak fryga młoda, brzydka kobieta ubrana z wiejska, w czerwonej spódnicy i w chustce na głowie. Opowiada taką historię: Poznała w Krakowie jakiegoś starszego osobnika, który ją tak sobie upodobał, że został jej częstym gościem, a nawet zaprowadził ją do dentysty i kazał wprawić złote zęby. Namówił ją do wyjazdu do Czech. Tam wszystko się między nimi popsuło. Zażądał, by szła tak jak w Krakowie na ulicę i by zarobione pieniądze jemu oddawała. Prowadził ją do różnych domów publicznych. Ale ona, wyzyskawszy jego nieobecność, uciekła do Krakowa. Z Krakowa pojechała na wieś do rodziców, jednakże zamiast radości spostrzegła w oczach ojca wielkie zdziwienie. „Jakże, dano nam znać żeś umarła. Daliśmy na nabożeństwo za duszę twoją, Kto nam to teraz wróci". Nadeszła matka i dodała: „Florka, gdyby cię jeszcze teraz zabito, to dalibyśmy znów na mszę świętą". — Na to ja jej odpowiedziałam: — „Jak wam posyłam pieniądze, to bierzecie. A druga wasza córka, a moja siostra, to wam nic nie posyła, a przecież ona jest elegantka, primadonna. Ona niżej 15 złotych od frajera nie bierze".

Krzykliwie zachowuje się na sali Reginka. Ma lat 33. Mówi, że ma 26, wygląda na 50. Otrzymała urlop z więzienia. Przed kilku miesiącami skradła 5 zł z korytarza przychodni. Po przeprowadzeniu rozprawy, skazano ją na 6 miesięcy więzienia. Grozi jej znów kara aresztu, tym razem za niestawienie się do badania lekarskiego. Jeśliby została teraz skazana, to nic z jej urlopu więziennego. Stara się więc, jak może, wymigać z grożącej jej kary. Podaje, że nie mogła przyjść do badania, bowiem zaczął się jej wówczas period. Wylewając przy tym obficie łzy — broni się argumentem, że ma na utrzymaniu dziecko i jej opieka dziecku temu jest niezbędna. Okazuje się jednak, że argument ten nie jest przekonywujący.

Inna prostytutka, gruba, niska z humorem opowiada koleżankom: „Złapał mnie policjant, bo nie trzymałam się przepisów porządkowych

Chciałam uciekać przed nim, ale szłam z chłopcem do hotelu. Mnie wzięli, a jego puścili". Po chwili dodaje: „Już ja teraz będę tak chodzić, by mnie nie złapano".

Przed oczyma zamigotało mi coś niebieskiego. Stanęła w niebieskiej sukni blondyna z perkatym nosem. Jej nieszczęście, to wódka. Dopiero co wyszła z więzienia, gdzie odsiedziała karę jednego roku za obrazę po-licjanta. Ledwie się jedna kara kończy, nadchodzi druga. Bo ta dziewczyna w stanie normalnym spokojna, upiwszy się zmienia się w innego człowieka. Jej manią jest, gdy się upije, rozebrać się do naga, stanąć na plantach koło sadzawki z łabędziami i przedstawiać posąg. Gdy się tak upozuje, 5 poli-cjantów nie da jej rady. Kopie, gryzie, zachowuje się jak zwierzę.

Jest znów inna, smukła, szczupła, o smutnych oczach. „Co mam ro-bić? Ojciec umarł, poszłam na ulicę".

Nieśmiało w kącie stoi obszarpana kobieta. Ona nie z Krakowa. Z okolic Będzina. Sama się zgłosiła. Tępy wzrok. Chora. Tryper. Chce się leczyć. W będzińskim szpitalu jej nie przyjęli.

A jakże staro wygląda ta 34-letnia bezzębna pijaczka! Nie znając jej wieku, określiłem ją na 60 lat.

Na ławce przysiadła młoda dziewczyna z wiejska ubrana. Jest w szó-stym miesiącu ciąży. „Co mam w domu robić? Na biedzie siedzieć?". — „No dobrze, ale teraz będziesz miała bidę. A wiesz chociaż, od kogo to dziecko?". — „Żebym to ja wiedziała".

Prostytutki nie krępują się, głośno między sobą rozmawiają. Jedna drugiej dogaduje. W pewnej chwili posłyszałem charakterystyczny urywek dialogu. — „Dziadówek będzie tyle, ile nas dziewuch". Druga replikuje: „Po co o tym mówić? Lepiej o tym nie myśleć".

Z góry spogląda na swoje koleżanki starsza, bo czterdziestoletnia, ruda kobieta, którą charakteryzuje dobrze jej własne powiedzenie: „Że przychodzę do badania, to nie łaska. To mój obowiązek".

W tej chwili zauważyłem na sali dwie staruszki. Nie zwróciłem na nie początkowo uwagi, myśląc że należą do służby, ale gdzie tam. Mój in-formator objaśnia mnie, że to najstarsze prostytutki w Krakowie. Jedna liczy lat 56, druga 58. Jeśli się zdarzy jakiś pijany gość, to i owszem. Ale najczęściej wyszukują sobie ofiary wśród młodych, mianowicie upatrują jakąś niedoświadczoną dziewczynę, która ukrywa się przed policją, i pod groźbą zadenuncjowania jej policjantowi, zmuszają ją do oddawania pewnej części zarobku.

Tak dzień po dniu obserwowałem prostytutki, widziałem je naprawdę z bliska, nie ukrywały niczego. Mówiły mi o różnych sposobach przynęca-nia mężczyzn. I tak jest taka, która gdy idzie na ulicę, nakłada okulary choć b. dobrze widzi i niesie walizkę w ręku. Ktoś myśli, że ona pierwszy raz jest w Krakowie, że szuka noclegu, ofiarowuje jej ten nocleg, a potem już się rzecz sama układa.

Jest znów inna, która ma stosunkowo duże powodzenie, a jest mała, brzydką, garbuską. Nikt by nie przypuścił, że jej zawód to prostytucja. Sam ją widziałem, siedzącą w tramwaju w towarzystwie eleganckiego po-rucznika.

I jeszcze inna: Stara, gruba Żydówka. Ma brata, uczciwego kupca. Ona sama wychowuje swoich 5-cioro dzieci. Pobożna, obchodzi uroczyście soboty i wszystkie święta żydowskie.

A tam znowu inna. Postać jakby z kłody drzewa wyciosana, twarz obskurna, nogi nienormalnej grubości. Kręci się pomiędzy robotnikami i udaje wiejską, naiwną dziewczynę.

W całym tym kompleksie prostytucji, bodaj, że najważniejszą kwe-stią jest kwestia sutenerstwa. Utarło się mniemanie, że prostytutka sama sobie winna, że ma alfonsa, który ją bije, katuje i odbiera jej pieniądze. Mniemanie to jest w przeważnej mierze błędne. Prostytutka bardzo często zmuszona jest do przyjęcia sutenera. A dzieje się to zwykle tak, że gdy jakaś nowa prostytutka pojawi się na ulicy, zaraz dochodzi do niej jakiś osobnik, który oświadcza jej poprostu, że chce być jej narzeczonym. Gdy prostytutka odmawia, osobnik ów nie daje jej ani chwili spokoju. Chodzi za nią jak cień. Gdy dojdzie do prostytutki jakiś gość, dobiega momen-

talnie, robi prostytutce kolosalną awanturę, tytułuje ją swoją żoną, tak że przestraszony gość czym prędzej zmyka. I przychodzi dzień, w którym prostytutka musi skapitulować. Może być inny powód wzięcia sobie przez prostytutkę alfonsa. A tym powodem jest konkurencja, która jest tak silna, jak rzadko gdzie indziej. Prostytutka dla ochrony interesów z obawy przed swoimi koleżankami i ich kochankami, bierze sobie opiekuna. Naturalnie wpada z deszczu pod rynnę.

Bardzo rozumnie pojmuje swoje zadanie p. referent Prizant, do którego prostytutki mają wielkie zaufanie. Referent broni ich, jak tylko może, przed alfonsami.

Kontrola nierządu i walka z chorobami wenerycznymi, prowadzona jest w Krakowie tak jak w całym kraju przez organy **władz rządowych**. Władze nie wydają zezwolenia na uprawianie nierządu. Uprawianie nierządu jest jedynie tolerowane, przyjmowane do wiadomości przez władzę. Osoby, zajmujące się nierządem, zmuszone są do poddawania się **periodycznym badaniom lekarskim**. Badania lekarskie przeprowadzane są bezpłatnie. Nie istnieje jakiekolwiek pobieranie opłaty za zezwolenia na uprawianie nierządu. W Krakowie na 250.000 tys. mieszkańców przebywa około 400 zarejestrowanych prostytutek. Ile jest tajnych nie wiadomo.

Badanie lekarskie odbywa sie dwa razy tygodniowo. Krew bada się w odstępach 2 do 3-miesięcznych. W razie stwierdzenia objawów chorobowych skierowuje się chore do szpitala. Kiłę utajoną leczy się w przychodni.

Prostytutkom wolno zasadniczo mieszkać w całym mieście bez ograniczenia, lecz nie więcej jak dwom w jednym domu. Przeważnie mieszkają na przedmieściach wśród ubogiej ludności. Polskie władze administracyjne, uważają prostytucję za zło nieuniknione, a istniejące przepisy mają na celu zapobiegać zgorszeniu publicznemu i rozszerzaniu się chorób wenerycznych.

Każda kobieta, zamierzająca uprawiać nierząd, musi się stawić przed **komisją sanitarno-obyczajową**. W komisji tej zasiadają: starosta, lekarz starostwa, fizyk, delegat policji, delegatka towarzystw społecznych. Członkowie komisji są świadkami, że dana osoba z własnej woli się zgłasza i że odrzuca pomoc delegatki Towarzystwa ochrony kobiet, która ofiarowuje jej mieszkanie i utrzymanie do czasu znalezienia pracy. W danym wypadku komisja orzeka, że reflektantka ma uczęszczać do periodycznych wizyt lekarskich, za opuszczenie których stosowane są kary pieniężne lub kary aresztu. O ile prostytutka zamelduje, że przestała trudnić się nierządem i znalazła inne środki egzystencji, wówczas wykreśla się ją z rejestru po uprzednim sprawdzeniu prawdziwości meldunku. Prostytutka otrzymuje książeczkę kontroli zdrowia, w której uwidocznione są daty badania lekarskiego, Dziewczęta, trudniące się nierządem dorywczo, mając za podstawę bytu jakąkolwiek pracę, nie otrzymują książeczki zdrowia. Obowiązane są jednak do poddawania się badaniu lekarskiemu.

Czerpanie zysków z nierządu, jak stręczycielstwo i sutenerstwo, jakoteż lekkomyślne zarażenie chorobami wenerycznymi objęte są polskim Kodeksem Karnym.

Organa policji wykonują polecenie Starostwa w kierunku czuwania nad zachowaniem się prostytutek na ulicy, doprowadzają prostytutki oporne na wizyty lekarskie, badają mieszkania prostytutek. Prostytutkom nie wolno pokazywać się na centralnych ulicach po godzinie 21. Nie wolno zachowywać się wyzywająco, zaczepiać przechodniów, chodzić gromadnie, palić papierosów, i w jakikolwiek sposób zwracać na siebie uwagę. Prostytutkom nie wolno przyjmować gości w mieszkaniach, gdzie są dzieci, nie wolno mieszkać w pobliżu szkół i zakładów dla młodzieży. Hotelom nie wolno przyjmować prostytutek w celu uprawiania nierządu.

Osoby, zajmujące się nierządem a nie będące w ewidencji policji, przytrzymane w hotelu lub w innym miejscu doprowadzane są do badania lekarskiego. W razie stwierdzenia choroby zostają te osoby skierowane do szpitala i leczone na koszt państwa lub gminy. Do czasu zbadania lekarskiego, najwyżej do godz. 12 dnia następnego po przytrzymaniu pozostają te osoby w areszcie prewencyjnym. Dokładne badanie, o ile tego zachodzi

potrzeba, odbywa się w szpitalu. Areszty prewencyjne urządzone są prymitywnie.

Sprawa tak zwanej tajnej prostytucji wytwarza najwięcej trudności władzom administracyjnym. Rozbieżność typów, jakie tu można spotkać, jest bardzo duża. Najprostszym typem to biedna robotnica, która po godzinach pracy szuka zarobku w podmiejskich zaułkach. Najbardziej skomplikowanym typem to osoba, obracająca się w pierwszorzędnych lokalach, a której moralność niczym nie różni się od moralności ulicznej prostytutki.

Karol Müller.

JÓZEF LITAUER
adwokat

Smutny jubileusz

W czerwcu r. b. minęła bez rozgłosu setna rocznica istnienia w województwach centralnych prawa małżeńskiego, nadanego Królestwu Kongresowemu przez cara Mikołaja I, ogłoszonego w Dzienniku Praw dnia 24 czerwca 1836 r., a więc lat sto temu, prawa dotychczas obowiązującego.

O rocznicy tej, o ile wiemy, napisały dwa zaledwie pisma: „Gazeta Sądowa Warszawska" i niżej podpisany w „Wolnomyślicielu Polskim". W „Gazecie Sądowej" sędzia Sądu Najwyższego St. Holewiński stanął na stanowisku, że car Mikołaj I poddając sprawy małżeńskie jurysdykcji sądów duchownych przywrócił prawo polskie skasowane przez kodeks oparty na prawie francuskim. Car Mikołaj I walczył więc o polską tradycję przeciw wpływom obcym. Przeciwnie w ślad za prof. Henrykiem Konicem, jednym z najwybitniejszych uczonych cywilistów polskich, w „Wolnomyślicielu" pisałem, że Mikołaj I wprowadził nowe prawo pod wpływem biskupów i reakcjonistów polskich przeciw uchwale sejmu z 30 czerwca 1830 r. powziętej między innymi na skutek wystąpienia Lelewela. Cytując prof. Konica, stwierdziłem, że Mikołaj I wraz z biskupami polskimi wystąpił przeciw trzykrotnym uchwałom przedstawicieli Narodu Polskiego, oraz, że carskie prawo o małżeństwie zostało wreszcie wprowadzone tylko dlatego, iż po zniesieniu sejmu polskiego — Petersburg sam narzucić mógł Polsce prawo identyczne z prawem rosyjskim.

Nowe carskie prawo małżeńskie zniosło dla większości obywateli b. Królestwa Kongresowego kontrolę nad małżeństwem ze strony państwa; tylko bowiem małżeństwa niechrześcijańskie i niektórych bardzo drobnych grup chrześcijańskich muszą rejestrować akta ślubu religijnego u urzędnika stanu cywilnego świeckiego, prawie wszyscy zaś chrześcijanie czynić tego nie mają potrzeby. Sam ślub kościelny bowiem jest całkowicie wystarczający. W ten sposób państwo nasze pozbawione zostało faktycznie bezpośredniej kontroli w dziedzinie zawierania związków małżeńskich przez swych obywateli.

Nadal obowiązujące w Kongresówce owo carskie prawo o małżeństwie oparte jest na systemie prawa rosyjskiego, uzna-

jącym w małżeństwie przede wszystkim pierwiastek religijny i traktującym odrębnie małżeństwo każdego wyznania. Prawodawstwo cywilne może uzupełnić za pomocą własnych rozporządzeń prawodawstwo kościelne, nie może jednak w zasadzie mu się przeciwstawić.

Państwo zostało więc pozbawione wpływu na warunki konieczne przy zawieraniu małżeństwa we wszystkich wyznaniach, a wpływ ten posiadają w całości rozmaite prawa wyznaniowe. I oto instytucja pod wzgędem społecznym tak doniosła, jak małżeństwo, jest poza ingerencją i kontrolą państwa. W carskiej Rosji, gdzie car jednocześnie był i głową państwa i cerkwi, ten brak wpływu i kontroli był mniej istotny, cerkiew bowiem identyfikowała się z państwem, a równość obywateli też nie istniała. Na polskim jednak terenie powstała sytuacja zupełnie pradoksalna: co wolno żydowi, tego nie zawsze wolno katolikowi itp. Przewidziana naszymi konstytucjami równość obywateli — w dziedzinie małżeństwa nie została urzeczywistniona.

Ale to, co napisaliśmy o zawarciu małżeństwa, bardziej jeszcze jaskrawo dotyczy kwestii rozwiązania małżeństwa. Jeśli bowiem w dziedzinie uprawnień do zawarcia małżeństwa różnice są raczej natury mniej zasadniczej, to stają się one bardzo istotne przy rozwodzie lub rozwiązaniu małżeństwa.

Gdy bowiem małżeństwo katolickie może być rozwiązane, tylko jeśli nie zostało spełnione fizycznie, czy jeden z małżonków wstąpił do klasztoru lub unieważnione z powodu nieważności od pierwszej jego chwili, a więc bez naruszenia sakramentu, co do którego przyjmuje się, iż go nie było, gdy małżeństwa innych wyznań chrześcijańskich mogą być rozwiedzione w drodze procesu z pewnych tylko przyczyn, ilościowo ściśle ograniczonych, to małżeństwa trzy i pół-miljonowej ludności żydowskiej mogą ulegać rozwodowi zupełnie bez żadnego powodu, a wprost tylko za zgodą stron.

Carskie prawo małżeńskie wprowadziło więc w Polsce wszystkie rodzaje rozwiązania związku małżeńskiego: od systemu rozwiązania jedynie przez śmierć jednego ze współmałżonków, aż do rozwodu na mocy zwykłego oświadczenia stron.

Wobec tego, że małżeństwo jest instytucją powszechną, ta mozaika systemów zawierania i rozwiązywania związku małżeńskiego znacznie utrudnia powstanie u nas jednolitego typu obywatela, a wręcz na odwrót tę różnorodność kultywuje w tej samej miejscowości, na tej samej ulicy, w tym samym domu, często nawet w tym samym mieszkaniu.

Prawo, którego stulecie obchodzimy, ułatwia więc możność istnienia tarć między różnymi grupami ludności, faworyzuje trwanie stanu ciągłych konfliktów. Zamiast uczynienia z ludności naszego kraju jednej bryły odpornej na wpływy zewnętrzne, granitowej całości, jakże niezbędnej, na przykład w wypadku orężnego ataku z zewnątrz, prawo to przyczynia się

do osłabienia pod względem psychicznym jedności państwowej, a co za tym idzie i obronności państwowej.

Tyle już razy pisano, że „jubileuszowe" prawo, które jest niezgodne nie tylko z potrzebami dzisiejszego społeczeństwa, ale nawet i tego sprzed wieku, stwarza tysiące bolesnych sytuacyj, setki nieszczęść, zmusza do kłamstwa i obłudy, podkopuje samo pojęcie prawa, propaguje jego nieposzanowanie, gruntuje psychikę rzeczywiście groźną pod względem moralnym, paczy charaktery, uczy je i przyzwyczaja do antyspołecznej walki ze stanem na prawie opartym, demoralizuje, że powtarzanie tego staje się już zbędne.

Jednak nie możemy nie przytoczyć jednego mało znanego nonsensu. Otóż Mikołajewskie prawo o małżeństwie przejęło obowiązujące w czasie jego powstania (przed stu laty) przepisy katolickiego prawa kanonicznego. Od tego jednak czasu (r. 1836) nakazy prawa kanonicznego ulegały modernizacji i złagodzeniu, często dość znacznemu. Ale od stu lat wciąż obowiązujące prawo o małżeństwie tych zmian nie uznaje, gdyż nie istniały one w chwili jego powstawania. W ten sposób obowiązujące dla katolików w województwach centralnych prawo małżeńskie jest bardziej zachowawcze aniżeli prawo przez kościół katolicki obecnie ze swoje uważane.

W tym jubileuszowym wspomnieniu chcemy tylko podejść do zagadnienia z punktu widzenia wpływu narzuconego nam przez zaborcę prawa na proces wytwarzania się jednolitej psychiki i moralności obywatela polskiego. Wpływ ten jest oczywiście ujemny.

Mikołaj I, biskupi i reakcja polska, niektórzy pewnie nieświadomie, dali Narodowi Polskiemu, jako całości, prawo ze wszech miar dla niego szkodliwe, gdyż spoistość i solidarność narodu naszego, jako całości państwowej, rozbijające.

Gdy obchodzi się jubileusz czyjejś pracy, wylicza się zasługi jubilata i życzy mu się jeszcze długiego życia i pracy. Do tej tradycji zastosować się nie możemy. Musimy niestety stwierdzić, że prawo sprzed lat stu pozbawia państwo nasze kontroli i uprawnień do ingerencji w ważną dziedzinę pod względem społecznym i obyczajowym, jaką jest zawarcie i rozwiązanie małżeństwa, to ostatnie bowiem odbywa się mocą orzeczeń nie sądów państwowych, a tylko sądów i instancyj kościelnych, w stosunku do których państwo ma wpływ bardzo minimalny, utrudnia zjednoczenie psychiczne ludności polskiej i stworzenie jednolitego typu polskiego, co jest tak ważne z punktu widzenia siły i spoistości państwa, wręcz naodwrót stwarza podstawy do utrwalenia się stanu niezrozumienia i niezgody między rozmaitymi grupami ludności na tym samym terenie zamieszkałymi.

Nie możemy więc jubilatowi życzyć długiego jeszcze życia. Przeciwnie, życzymy mu jak najszybszego zgonu.

Józef Litauer.

Doc. U. J. Dr WIKTOR ORMICKI

W sprawie naukowych podstaw polskiej polityki ludnościowej

(*Dokończenie*).

Niezależnie od globalnej sumy ziemi zakwalifikowanej na cele kolonizacji wewnętrznej opracowaćby należało **problem meljoracyjny** w sensie zbilansowania potrzeb i zestawienia oczekiwanych wyników akcji meljoracyjnej zarówno w wypadku realizacji programu częściowego, jak i maksymalnego. Rozporządzając wynikami powyższych badań można przystąpić do opracowania **możliwości kolonizacji wewnętrznej,** a to z uwagi na zapas ziemi i nadwyżkę ludności rolniczej. Studjum to musi doznać pogłębienia w drodze rozważania kosztów meljoracji i kolonizacji wewnętrznej. Celem zorjentowania się w dotychczasowych wynikach akcji parcelacyjno-osadniczej należałoby poddać rzeczowemu przeglądowi i krytycznej ocenie **przebieg i wyniki akcji parcelacyjnej i reformy rolnej,** uwzględniając rozmieszczenie nowopowstałych osad i gospodarstw, zmiany w gęstości zaludnienia wywołane przemieszczeniem osadników, ich pochodzenia terytorjalne i zawód, oraz koszta związane z całem przedsięwzięciem.

2. Wyodrębniony zespół problemów stanowią badania o charakterze informacyjno-przygotowawczym, które mają na celu zorjentowanie w najkorzystniejszej wielkości gospodarstw przy regjonalnem planowaniu akcji osadniczej, oraz w potrzebach tak co do żywego jak i martwego inwentarza. Do tej samej kategorji należą studja nad zróżnicowaniem gospodarki rolno-hodowlanej, co plan kolonizacji wewnętrznej winien przewidywać, wreszcie szacowanie oczekiwanego wzrostu konsumpcji artykułów przemysłowych w kilku alternatywach (pełny program kolonizacji wewnętrznej, całkowita meljoracja, częściowa meljoracja). Naturalnem dopełnieniem powyższych badań byłyby studja nad planem rozmieszczenia i kosztami uruchomienia spółdzielń przeróbki mleka, rzeźni i fabryk przetworów mięsnych oraz spółdzielń narzędziowo-maszynowych. **Badania nad zagadnieniem kolonizacji wewnętrznej winny wskazać okolice, które na skutek napływu ludności przestają istnieć jako rezerwa powierzchniowa. Znajomość geograficznego rozmieszczenia nadwyżek ludności winna umożliwić, dzięki znajomości warunków zbytu, rynku pracy, oraz bogactw przyrodzonych, wyłączenie obszarów szczególnie predysponowanych w kierunku ewolucji przemysłowej.**

A. III. **Studja nad problemami emigracyjnemi.** Na jedno z pierwszych miejsc wysuwają się badania demograficzno-statystyczne, a wśród nich **problem rozmieszczenia nadwyżek ludnościowych nie objętych planem kolonizacji wewnętrznej.** Szczegółowej analizy wymaga zagadnienie nasilenia **emigracji z km** i w odsetkach ludności miejscowej. Rzecz prosta, że sprawy takie jak pochodzenie emigrantów, ich struktura wiekowa, wyznaniowo-językowa, zawodowa, stan cywilny, stosunek mężczyzn do kobiet, stan majątkowy i t. d. winny być rozpoznane w doniesieniu conajmniej do powiatów przy zachowaniu podziału na ludność miejską i wiejską, oraz według narodowości. Studja winny uwzględnić możliwie długą serję lat i dążyć do ugrupowania materjału analitycznego krajami przeznaczenia i obszarami wychodźczemi.

Problem naturalnego ruchu ludności na emigracji wymagałby również bardzo starannego przygotowania schematu klasyfikacyjno-statystycznego, by uchwycić różnice według wyznań, czasu pobytu na emigracji i krajów emigracji. Można przypuszczać, że pochodzenie (regjon emigracyjny i miejsce zamieszkania: miasto, wieś) nie pozostanie bez wpływu na kształtowanie się ruchu naturalnego. Ciekawem wreszcie zagadnieniem byłoby rozpatrzenie na terenach wychodźczych stosunku między nasileniem emigracji, a kształtowaniem się naturalnego ruchu ludności (głównie urodzeń)

2. W rzędzie problemów gospodarczych jedną z najważniejszych jest niewątpliwie sprawa bilansu płatniczego emigracji, zasługująca na możliwie drobiazgowe studjum według krajów imigracji. Duże usługi oddać tu może analiza polskiego handlu zagranicznego z krajami głównych skupień Polonji Zagranicznej — jak i analiza struktury handlu zagranicznego państw, grupujących polski element emigracyjny.

3. W zakresie polityki emigracyjnej wchodzi w rachubę zbadanie organizacji wychodźtwa w ważniejszych państwach emigracyjnych (przy uwzględnieniu 1) postępowania likwidującego interesy wychodźcy w kraju, 2) przygotowania fachowego, 3) metod dozoru emigranta w rejon imigracyjny, 4) akcji osadzania i zagospodarowania oraz 5) późniejszej opieki. Doniosłym problemem jest technika zakładania nowych osad na emigracji. Należałoby tutaj dokładnie zbadać metody wewnętrznej organizacji ludnościowej, a zatem dobór emigrantów co do obszarów pochodzenia, składu zawodowego, wyznaniowego, narodowościowego i t. p. Nie jest obojętną ani sprawa organizacji gospodarki i wymiany towarowej na terenach skolonizowanych. Równie ciekawie przedstawia się sprawa kontaktu emigracji z krajem macierzystym i jego formy. Interesujące światło na zagadnienie związków emigracji z macierzą rzuciłyby niewątpliwie badania nad subwencjonowaniem wychodźtwa w ważniejszych państwach emigracyjnych. W interesie celowości polityki emigracyjnej wymaga zbadania problem doboru i selekcji wychodźców przy uwzględnieniu kryterjów pochodzenia, narodowościowych, majątkowych, zawodowych i innych. Analiza pobudek emigracyjnych stanowi temat badawczy dla siebie.

Studja nad problemami emigracyjnemi winny dać przegląd zasadniczych wytycznych polityki emigracyjnej w innych krajach, stworzyć podstawy dla poddania ewentualnej rewizji polityki handlu zagranicznego, dostarczyć wskazówek odnośnie zestawienia zaludnienia w nowozakladanych osadach z uwagi na oczekiwany przebieg stosunków demograficznych, jakoteż zregjonalizować państwo ze względu na charakter, kierunki i skład strukturalno-demograficzny wychodźtwa.

B. Szersza dyskusja nad programem aktualnym mijałaby się z celem. Wystarczy wskazać, że w rzędzie specjalnie aktualnych obecnie zagadnień — znachodzą się: sprawa gospodarczego znaczenia emigracji dla Łotwy, wychodźtwo do Palestyny, problem zmian strukturalnych w emigracji polskiej (pod względem wyznaniowym, językowym, narodowościowym, zawodowym i t. d.), zagadnienie geograficznego rozmieszczenia chorób dyskwalifikujących wychodźcę i t. d.

Wywody powyższe nie uwzględniają w zupełności wielu innych nie mniej ważnych dziedzin polityki ludnościowej, ażeby wspomnieć tylko zagadnienia eugeniki, opieki i higjeny społecznej, higjeny i służby zdrowia na emigracji. Nie są zatem wyczerpujące. Nie dotknięto zagadnień związanych z możliwościami zwiększenia pojemności ludnościowej w drodze intensyfikacji gospodarki rolno-hodowlanej, pominięto problem urbanizacji industrjalizacji, słowem nawet nie wzmiankowano spraw związanych z planowaniem gospodarki energetycznej, której znaczenie w dziele kształtowania stosunków populacyjnych jest niezaprzeczalne. Wogóle nie zwrócono w dyskusji uwagi na momenty obrony krajowej, decydujące przecież wielokrotnie przy pobieraniu decyzyj polityczno-ludnościowych.

Krótko mówiąc, prace związane z naukowem oświetleniem problemu ludnościowego są przedsięwzięciem obliczanem na dłuższą metę, kosztownem i wymagają planowej realizacji. Ich przegląd i ewidencja winny spocząć w rękach jednej instytucji czy organizacji, powołanej do uzgadniania wysiłków świata naukowego, koordynowania robót, prowadzonych w różnych ośrodkach badawczych, ustalania hierarchji i kolejności pożądanych poszukiwań i dochodzeń naukowych, jakoteż zdobywania i repartycji środków finansowych. Wzmiankowana instytucja byłaby wtedy ośrodkiem skupiającym i racjonalizującym pracę badawczą, a jej naczelne zadanie polegałoby na syntetyzowaniu wyników napływających stopniowo z rozmaitych warsztatów pracy naukowo-badawczej.

Potrzeba powołania do życia tego rodzaju organizacji zdaje się nie wymagać dalszego uzasadnienia. Dotychczasowe doświadczenia wskazują że nauka polska wiele ze wzmiankowanych problemów i zagadnień podjęła samorzutnie z dużym nakładem bezinteresownej pracy i subtelnej inwencji badawczej. W wielu dziedzinach osiągnięto też znakomite wyniki. Uzgodnienie tych wyników jakoteż badań staje się w coraz wyższym stopniu koniecznością państwową, ponieważ **polityka ludnościowa** musi znaleźć oparcie o naukowo nienaganny fundament prawidłowej oceny rozgrywających się zjawisk i toczących procesów.

Wiktor Ormicki.

GINEKOLOG NA ROZDROŻU

Dr Th. H. Van de Velde: Zniechęcenie w małżeństwie. Jego powsta=wanie i zwalczanie. Z 36 ilustracjami. Przełożył dr Zygmunt Jeliński. Warszawa, 1936. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

„Zniechęcenie w małżeństwie" jest drugą częścią trylogii, której część pierwszą stanowiło „Małżeństwo doskonałe". Książka ta ma, podług autora, na celu uzmysłowienie małżonkom, względnie kandydatom na nich czynników wywołujących wzajemną niechęć, a przez to umożliwienie ich zwalczania.

Autor omawia szczegółowo zagadnienie pierwotnej i wtórnej niechęci seksualnej, analizuje przeciwieństwa psychiki męskiej i kobiecej, by dojść wreszcie do wniosku, że zasadniczym warunkiem szczęścia małżeńskiego jest **podporządkowanie się** kobiety mężczyźnie. Walka o władzę w małżeństwie nie może skończyć się kompromisem (!), lecz winna skończyć się zwycięstwem mężczyzny. Dr Van de Velde wypowiada się stanowczo przeciw liberalizmowi w małżeństwie i przy tej okazji atakuje zaciekle feminizm, który „podważa podstawy instytucji małżeńskiej". Albowiem obowiązkiem żony jest potulne poddanie się kierownictwu męża (bez względu na jego poziom intelektualny). Kobieta utalentowana winna nawet **tłumić** w sobie zdolności i zamiłowania, by przypadkiem nie przyćmić swym talentem męża. Żona bowiem, ale tylko żona, chcąc osiągnąć szczęście małżeńskie — woła ginekolog-moralizator — musi **dostosować** się do męża. Również w kwestiach wychowania dzieci decydujący głos winien przypaść mężowi.

„Być kobietą, t. zn. chcieć być matką". Cała psychika kobiety jest nastawiona na **macierzyństwo.** Cóż jednak mają czynić te nieszczęśliwe kobiety, którym nie jest danym znaleść męża i władcy? Czy może mają spełniać swe szczytne powołanie, wydając na świat dzieci poza małżeństwem? Broń Boże! Zająć się cudzymi dziećmi — radzi łaskawie autor — kreując nawet dla niezamężnych kobiet specjalny zawód „ciotki dla dzieci". „Mężczyzna do pracy, kobieta do dziecka", oto jak streszcza sam autor wywody na ten temat. Jak wiemy, w imię podobnych haseł prowadzą Niemcy hitlerowskie akcję antyemancypacyjną.

Podkreślając ogromne znaczenie, jakie posiada stosunek płciowy dla kobiety, w przeciwieństwie do mężczyzny, występuje autor znowu w obronie **podwójnej moralności,** odżegnywując się przy tym od tej nazwy i od zarzutu jakiejkolwiek stronniczości. W chwilę jednak później pisze w ten sposób: W dziedzinie życia seksualnego winna „kobieta przepisać sobie sama prawa o wiele **surowsze** (!) od obowiązków, jakie w sprawach seksualnych nakłada sobie mężczyzna". A dalej: „Stosunek mężatki, która naraża męża, dzieci, rodzinę na niebezpieczeństwo wtargnięcia obcych elementów, ma całkiem inne znaczenie, niż seksualna niewierność męża". Dlaczego stosunek pozamałżeński męża nie pociąga za sobą podobnych niebezpieczeństw dla życia rodzinnego, tego autor nie raczył szczegółowiej nam wytłumaczyć. Rozumując w ten sposób wyciąga konsekwentny wniosek, że małżonkowie muszą uwzględnić naturalne różnice płci, co należy czytać, że kobieta winna mężowi zezwolić na to, do czego sama praw rościć sobie nie może. Oto jest męskie postawienie kwestii! Kobiecie natomiast przystoi **przebaczenie.** Winno ono być jednak „równie taktowne, jak pełne wdzięku". (Pamiętajcie o tym zdradzane małżonki). Albowiem równość płci — jest podług Van de Veldego — **fikcją.**

Ze zgorszeniem patrzy autor na tak częsty w dzisiejszych czasach „typ współczesnej roztańczonej kobietki, o krótkich włosach i krótkiej spódniczce, wyróżowionej i wykarminowanej" oraz na sposób zachowywania się dzisiejszej młodzieży (oczywiście żeńskiej). Przestrzega przeto młode panienki przed „rozluźnieniem obyczajów" i przed długotrwałym narzeczeństwem, radząc słowami Mefista: „Choć miłość nęci, nie folguj chęci, aż ksiądz poświęci obrączki wam".

Wygłaszając apologię małżeństwa występuje przeciw wolnej miłości, „małżeństwom na próbę“, **ułatwieniom rozwodów,** wypowiadając się natomiast za małżeństwem „kościelnym“.

W drugiej części „Zniechęcenia“ zajmuje się autor doborem małżeńskim, podkreślając m. i. znaczenie posagu wnoszonego przez żonę (co mają zrobić kobiety nie mające posagu?) i radząc mężczyznom branie tego momentu pod uwagę. Wypowiada się zasadniczo przeciw **pracy zawodowej kobiet,** jako kolidującej z zajęciami żony i matki (ilu dzieci?), oraz przeciwko zawodowemu kształceniu dziewcząt. Natomiast zaleca „ogólne kształcenie praktyczne“ dziewcząt, celem pomagania mężowi. I tu, podobnie zresztą jak i w całej książce, nie uwzględnia zupełnie momentu społecznego (vide statystyka małżeństw bezrobotnych mężczyzn z pracującymi kobietami w artykule Krahelskiej).

Przestrzega stanowczo przed małżeństwem z osobą innej rasy, narodowości, wyznania, a nawet sfery społecznej.

W rozdziale omawiającym znaczenie zdrowia w małżeństwie wypowiada się za specyficzną „grzecznościową“ formą wymiany **świadectw przedślubnych.** Jako lekarz i społecznik powinien sobie autor zdawać sprawę, że kwestię tę o ogromnej społecznej doniosłości rozwiązaćby mogło **ustawowe, przymusowe** przekładanie świadectw przedślubnych, bez czego zawarcie małżeństwa byłoby niemożebne.

Szczegółowo omawia związek zachodzący pomiędzy charakterem a budową ciała, przedstawia Kretschmerowskie typy uwzględniając ich „zdolności małżeńskie“. Radzi korzystać przy wyborze małżonka z usług grafologii.

W ostatnim rozdziale podaje pokrótce kilka, wątpliwej zresztą wartości, metod leczniczych niechęci małżeńskiej, z których najroztropniejsza jest ta, jaka zaleca zwrócenie się do lekarza.

Cała książka napisana dość chaotycznie zawiera, obok wielu uwag niewątpliwie słusznych, cały szereg myśli i sądów zacofanych i naiwnych. Traktując zagadnienie z punktu widzenia szczęścia indywidualnego pomija autor zupełnie niesłychanie ważne momenty społeczne. Tłumaczenie dobre.

M. St.

„NATURALNA“ REGULACJA URODZEŃ

Jan Marski: Małżeństwo wierne naturze. Kalendarz małżeński. Wydawca M. Malczewski, Poznań, 1936.

Jest to drugie wydanie broszury omawiającej praktyczne zastosowanie metody **Smuldersa** w myśl teorii **Ogino-Knausa.** Ukazanie się na półkach księgarskich w przeciągu krótkiego czasu dwóch wydań broszury Zajdlicza, książki Georga *) oraz dwóch wydań omawianego „Kalendarza małżeńskiego“ (wszystko w Poznaniu) świadczy, że Kościół katolicki zrozumiał doniosłość zagadnienia **świadomego macierzyństwa** i stara się zdjąć wiatr z żagli jego propagatorów przez intensywną propagandę „naturalnej“ regulacji urodzeń.

Autor omawianej broszury ujmuje z katolickiego punktu widzenia teorię Ogino-Knausa (naprzemiennych okresów płodności i bezłodności w cyklu miesiączkowym kobiety *) i jej praktyczne zastosowanie przedstawiając w tym celu szczegółowe tabele podług metody Smuldersa. Tabele wraz z dokładnym opisem używania pozwalają na szybkie i łatwe zorientowanie się w poszczególnych przypadkach.

Silne **zastrzeżenia** budzi teoretyczna część broszury zawierająca uzasadnienie stosowania powyższej metody. Abstrahujemy od zapatrywań autora na małżeństwo i zapłodnienie, ponieważ kwestje te były już nieraz dyskutowane i omawiane. Przejdźmy natomiast do samej metody. Autor —

---

*) Książka ta była szczegółowo omawiana w 1. numerze ŻYCIA ŚWIADOMEGO.

*) Porównaj „Miłość szczędząca“ w 1. numerze Ż. ŚW.

zdaje się nie lekarz — z dużą pewnością siebie wygłasza niczym nie uzasadnione sądy w rodzaju: „Nie ma ani jednego z t. zw. środków przeciw zapłodnieniu, który by był nieszkodliwy“, „środki zapobiegawcze pozbawiają kobietę koniecznych dla jej ustroju soków, co oczywiście wpływa ujemnie na jej zdrowie“. Równocześnie zapewnia czytelników o **niezawodności** metody Ogino-Knaus-Smulders, mimo bardzo poważnych **wątpliwości** i całkowicie **odmiennych wyników** badań uzyskanych przez uczonych i autorów tej miary, co L. Fraenkel, R. Meyer, O. Grosser, Bolaffio, Siegel, Nürnberg i wielu innych. Również polscy autorowie (oczywiście fachowcy!) okazują daleko posunięty sceptycyzm wobec powyższej metody (porównaj doc. dr Lorentowicz „O sposobach zapobiegania ciąży“ i doc. dr Br. Stępowski "Medycyna dla wszystkich" nr. 6 (18) z czerwca 1936 r.), nie negują natomiast jej wartości pozytywnej, t. j. istnienia pewnych dni w okresie międzymiesiączkowym, kiedy warunki do zapłodnienia są najkorzystniejsze. Metoda omawiana zatem przez p. Marskiego wymaga jeszcze długich studiów i doświadczeń zanim ewentualnie będzie można uznać jej praktyczne znaczenie.

Zupełnie niezrozumiałym jest dla nas, jak mógł się dostać do książki, która — jak sam autor w przedmowie powiada — przejrzana była przez dra med. Rydlewskiego prezesa Związku Katolickich Lekarzy w Poznaniu, tego rodzaju nonsens: „Dziecku spłodzonemu w chwili np. zamroczenia rodzica alkoholem — grozi idiotyzm“. Taka forma dziedziczenia do tej chwili nie została przez medycynę wykryta. Dziecku może grozić idiotyzm, jeżeli rodzice byli oligophrenami. Ale wtedy zamroczenie alkoholem w chwili zapłodnienia nie ma znaczenia.

Niepoważne wrażenie robi demagogiczne powoływanie się na ostatnich stronach książki na liczbę urodzeń i zgonów ludności chrześcijańskiej i żydowskiej w Warszawie przez przeciąg... jednego miesiąca. Gdyby autor wziął do ręki statystykę co najmniej z kwartału przekonałby się, że liczba urodzeń Żydów jest proporcjonalnie niższa niż chrześcijan. Omawiane w tym samym miejscu zagadnienie gwałtownego wzrostu liczby urodzeń w Niemczech hitlerowskich przedyskutowaliśmy szczegółowo w 1. numerze ŻYCIA ŚWIADOMEGO.

M. St.

O NIEKARALNOŚĆ PRZERYWANIA CIĄŻY

Dr Kurt Bendix, dr Ludwik Levy-Lenz, dr Z. Luetzenkirchen, dr I. Werthauer: Przerywanie ciąży. Studium naukowe dla lekarzy, prawników i socjologów — z 82 rycinami. **Przełożył i uzupełnił: Dr med. Mieczysław Mosenkis. Rozdział prawny opracowali: Mgr praw Stefan Plich, sędzia i dr med. Borys Wejnberg, lek. sądowy.** Wydawnictwo lekarskie **„Eskulap“.**

Obszerne dzieło zbiorowe autorów niemieckich, spolszczone obecnie przez dra Mosenkisa, spotkało się już za granicą z zasłużonym uznaniem i życzliwą oceną postępowej części świata lekarskiego i prawniczego. Doskonałe tłumaczenie, liczne komentarze i uzupełnienia zaczerpnięte z piśmiennictwa polskiego czynią właściwie tłumacza współautorem tego cennego dzieła.

Po ogólnym wstępie i ciekawej statystyce poronień w różnych krajach przechodzą autorowie do omówienia wskazań do przerwania ciąży. Dział ten opracowany wyczerpująco pod względem anatomo-patologicznym i klinicznym może oddać lekarzowi praktykowi duże usługi. Specjalny rozdział poświęcony jest **wskazaniom eugenicznym** do przerwania ciąży, jednak proponowana przez autorów skala wskazań eugenicznych jest, naszym zdaniem, zbyt szczupła. Bogaty opis środków poronnych wraz z podaniem ich działania farmakologicznego oraz metodyka i technika zabiegu przerywania ciąży kończą czysto lekarską część pracy.

Drugą część książki stanowi niezmiernie ciekawy, opracowany przez polskich autorów dział prawniczy, omawiający szczegółowo ustawodawstwo w dziedzinie przerywania ciąży w czasach przeszłych oraz ustawodawstwo współczesne w różnych krajach europejskich i pozaeuropejskich.

Na podstawie danych statystycznych dochodzą autorowie do wniosku, że zalegalizowanie poronień **nie wpływa na zwiększenie ilości kobiet ubiegających się o przerwanie ciąży**, natomiast **zmniejsza znacznie ilość powikłań i przypadków śmierci po zabiegu** (Estonia, Rosja Sowiecka). Jednak „najskuteczniejszą walką z przerywaniem ciąży jest szeroko prowadzona **propaganda i stosowanie środków zapobiegawczych ciąży. Udostępnienie środków antykoncepcyjnych ...jest daleko skuteczniejszą bronią w walce z przerywaniem ciąży — niż groźba więzienia i cały aparat Kodeksów Karnych**".

Przechodząc do Polskiego Kodeksu Karnego z r. 1932 opisują autorowie walkę opinii publicznej, zbudzonej przez Boya-Żeleńskiego o postępowe ustawy odnośnie do przerywania ciąży, walkę, która zdawała się już być bliską wygranej. Niestety „obecne brzmienie art. 233 K. K. — w sprawie karalności spędzania płodu — przekreśliło całą walkę światłego i postępowego odłamu społeczeństwa o wyzwolenie kobiety i o udzielenie jej prawa świadomego macierzyństwa". „Nowelizacja odnośnych przepisów Polskiego Kodeksu Karnego — wołają autorowie — jest nakazem chwili!" **Należy usunąć karalność przerywania ciąży** i przez to **wyrwać kobietę z proletariatu z rąk babek i partaczy**. „Zezwolić należy kobietom na prawo, należne istotom rozumnym, odróżniające je od samic niższych gatunków — na prawo świadomego macierzyństwa". Autorowie walczą również o uznanie **wskazań społecznych** do przerywania ciąży, nie pomijają nawet strony etycznej zagadnienia.

Występując przeciwko karalności przerywania ciąży, nie zamykają autorowie bynajmniej oczu na szkody, jakie wywołuje nagminne stosowanie sztucznych poronień i dlatego wskazują inne tory walki z poronieniami. **„W zakresie walki z poronieniami wielką rolę odgrywają poradnie świadomego macierzyństwa.** Szerszy zakres walki z poronieniami polega na ogólnej **poprawie bytu**, na rozstrzygnięciu **kwestii mieszkaniowej**, na istotnym **ulegalizowaniu potomstwa nieślubnego**, na karaniu moralnych sprawców poronienia".

Całe zagadnienie omówione jest wyczerpująco i wszechstronnie, a przy tym jasno i przystępnie. Zaznajomienie się z pracą i wywodami reprezentującymi myśl postępowej części społeczeństwa będzie połączone niewątpliwie z dużym pożytkiem zarówno dla lekarza, jak i prawnika oraz społecznika.

Dr med. Tadeusz Hofbauer.

SPRAWY DRAŻLIWE

Irena Krzywicka: „Co odpowiadać dorosłym na drażliwe pytania?" Warszawa, Tow. Wyd. „Rój", 1936.

Doprawdy miło jest rozmawiać z autorką „Pierwszej krwi" i „Walki z miłością" o „drażliwych" sprawach. „Drażliwych?". Jakież to sprawy są drażliwe? O, jest ich wiele. Wszystko, co tyczy się płci, miłości, wychowania, wojny, religii — wszystko, co jest życiowe, jest dziś drażliwe. A z p. Ireną Krzywicką dlatego jest miło dyskutować, że ta śmiała pisarka sięga głęboko spojrzeniem w życie, patrzy zawsze przez pryzmat szczerego humanitaryzmu, a przy tym jest zupełnie wolna od fanatyzmu, rozumuje ściśle, rzeczowo, nie waha się wypowiadać uwag sceptycznych i formułować ostrożnych zastrzeżeń i wątpliwości.

Nowa książka p. Krzywickiej obejmuje 25 krótkich rozpraw z dziedziny krytyki literackiej, wychowania i psychologii społecznej, drukowanych poprzednio oddzielnie na łamach czasopism. Wyborne jest m. i. oświetlenie genialnej, wielostronnej, niestrudzonej pracy Boya, pisarza „nieznanego", choć tak gwałtownie, zajadle, przewrotnie atakowanego, którego „wielkość i znaczenie rozumieją dotychczas może zbyt nieliczni". Bardzo rozumne są krytyczne uwagi na temat wychowania. Trzeźwy jest sąd o dużym odłamie kobiet. „Ogromna masa kobiet albo nie widzi jeszcze nic, patrząc przed siebie zamglonym wzrokiem noworodka, albo w najlepszym wypadku gapi się i milczy. Tak bym chciała być dobrego zdania o kobietach! Są zdolne, mają zdrową energię do życia. Cóż kiedy wciąż jeszcze

takie niedorosłe i takie tchórzliwe, takie nieporadne i takie posłuszne. Kiedy to minie? Za dziesięć lat? Za dwadzieścia? Dajcie znać, kiedy się będzie można z wami porozumieć".

Miło jest dyskutować z p. Krzywicką. ls.

ŻYCIE SEKSUALNE RODZICÓW A DZIECI

Dr Wilhelm Stekel, docent uniwersytetu w Wiedniu: Wychowanie rodziców. Przekład dra med. Tadeusza Fajansa. Instytut Wydawniczy Renaissance — Ars medica, Warszawa.

Autor z zawodu psychiatra i psychoanalityk przedstawia **wpływ życia seksualnego rodziców na rozwój dzieci**, uważając w bardzo wielu wypadkach zaburzenia psychiczne dzieci za następstwo nieodpowiedniego życia płciowego rodziców. Często gra tu rolę, świadomie lub nieświadomie, popęd skierowany w kierunku dziecka (kompleks Leara). Duże znaczenie przypisuje też popędowi seksualnemu dziecka skierowanemu do rodziców hetero lub homoseksualnie. Dr Stekel wylicza wszystkie błędy w wychowaniu, które zdaniem jego prowadzą do **zaburzeń** w sferze seksualnej i psychicznej dziecka. Wszystkie te zaburzenia leczy, podobno stale z dobrym skutkiem, psychoanalizą.

Zdaje mi się jednak, że dr Stekel przejaskrawia pewne fakty i zbyt łatwo je uogólnia. Za główną jednak wadę tej, poza tym cennej, książki uważam **nieuwzględnienie** w opisywanych zaburzeniach **czynnika dziedzicznego,** a natomiast **przecenianie czynników zewnętrznych** działających w czasie rozwoju dziecka. Aczkolwiek nie neguję, że i one odgrywają doniosłą rolę, to jednak nie można pominąć milczeniem istnienia predyspozycji na tle dziedzicznym. Na tym tle działają warunki zewnętrzne wydobywając na jaw lub ukrywając wrodzone skłonności. Jaskrawie świadczą o znaczeniu czynnika dziedzicznego, zarówno dla somatycznego, jak i psychicznego obrazu osobnika, badania przeprowadzone nad **bliźniętami jednojajowymi.** Uderza wybitna zgodność wyglądu, umysłowości, a nawet skłonności chorobowych, co powoduje często identyczne dolegliwości u bliźniąt żyjących w zupełnie różnych warunkach zewnętrznych (Michaelis, Bauer i in.). Niezmiernie ciekawe są badania Langego nad bliźniętami-przestępcami. Lange zbadał 30 par bliźniąt, w tym 13 par jednojajowych, z których jakieś zostało sądownie skazane. Okazało się, że z 13 par bliźniąt jednojajowych w 10 wypadkach zostały skazane oba, a tylko w 3 jedno z bliźniąt. Natomiast z 17 par bliźniąt dwujajowych zaledwie w 2 wypadkach zostały skazane oba, w pozostałych 15 parach skazany był tylko jeden osobnik. Świadczy to dobitnie o wpływie czynników dziedzicznych na charakter. Bynajmniej jednak, zaznaczam raz jeszcze, nie wolno lekceważyć wpływów wychowania i środowiska.

Pożyteczną tę książkę powinni, mimo powyższych zastrzeżeń, przeczytać wszyscy rodzice i wychowawcy, gdyż może im ona zwrócić uwagę na różne wady i słabostki, z których nie zdają sobie sprawy, pozwoli je łatwiej opanować i przez to ułatwi częstokroć wychowanie dzieci. Tłumaczenie poprawne. M. St.

ECHA

PANI PARYLEWICZOWA

Och, prosimy nie posądzać nas o zamiar przyłączenia się do stugębnego chóru tych, co **fortissimo** gorszą się postępowaniem pani prezesowej — d z i ś, gdy z elitarnego Kapitolu zawleczono ją nagle na skraj skały Tarpejskiej i strącono w przepaść św. Michała... Niestrudzona działaczka społeczna, przewodnicząca w tylu komitetach, dama obrotna i wpływowa — była zbyt uczynna dla ludzi, rozumiejących znaczenie protekcji (tak mało u nas, jak wiadomo, praktykowanej!), ale przebrała miarę w swej wszechstronnej, skrzętnej działalności. Strach pomyśleć, ile kłopotów pani prezesowa przysporzyła sędziemu śledczemu, który — jak dzienniki doniosły — objechać musi szereg miast zachodniej Małopolski i przesłuchać pono 1000 (tysiąc!) świadków! Ładny to będzie proces — i nie można się dziwić, że „opinia publiczna", doppingowana notatkami dzienników, z miłym dreszczykiem emocji czeka nań i doczekać się nie może; sądzimy, że będzie jeszcze musiała uzbroić się w cierpliwość... W każdym razie afera pani prezesowej ujawniła, że społeczeństwu naszemu nie brak cnoty **dyskrecji**; jeżeli wierzyć dziennikom, tysiąc (!) osób będzie miało teraz coś do powiedzenia o pani prezesowej, różne społeczne panie i paniusie w komitetach i stowarzyszeniach też coś tam wiedziały (jeszczeby też kobiety nie wiedziały!), ale cicho sza! te tysiąc osób milczało i wszyscy kłaniali się pani prezesowej, dopóki była panią prezesową, pełni rewerencji i dyskrecji. My jednak nie będziemy dyskretni i pozwolimy sobie dorzucić jeszcze drobny, ale, naszym zdaniem, cenny przyczynek do charakterystyki tej wybitnej działaczki:

Oto pani Parylewiczowa była jedną z tych pań społecznych, które niezmiernie się zgorszyły powstaniem w Krakowie Towarzystwa Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i ona to poprowadziła do pana wojewody delegację poczciwie myślących kobiet z żądaniem zamknięcia poradni i zlikwidowania Towarzystwa. No, być może, że ta akcja pani prezesowej będzie zaliczona na konto jej zasług i zaważy jako okoliczność łagodząca. W każdym razie warto ją upamiętnić. ls.

KRZYK POKOLENIA

Jak przed kilku tygodniami dzienniki warszawskie doniosły, studentka 2. roku prawa Uniwersytetu Warszawskiego 23-letnia Halina Pelagia Włożanka, zajechawszy tramwajem do mieszkania rodziców na Marymoncie, oświadczyła, że otruła się arszenikiem. Wkrótce straciła przytomność, a przewieziona do szpitala Dz. Jezus mimo zabiegów lekarskich zmarła.

Młoda samobójczyni pozostawiła list odsłaniający tragedię współczesnego pokolenia:

> „Popełniam samobójstwo, gdyż nie mogę dłużej walczyć. Jak większość dzisiejszej młodzieży, jestem widać niepotrzebna. Nie ma miejsca dla mnie.
>
> Państwo domaga się stale nowych obywateli, szczyci się przyrostem ludności. **Zapewne u nas w Polsce najpotrzebniejsze są niemowlęta i dzieci. Jednostek dorosłych, wykształconych i przygotowanych do życia państwu nie trzeba.**
>
> Nie jest mi lekko umrzeć. Boję się śmierci, ale nie mam już sił.
>
> Robiłam wszystko, co było w mojej mocy, aby stworzyć sobie i zdobyć znośne warunki jakiejkolwiek egzystencji.
>
> Chwytałam się każdej uczciwej pracy. Wielu panom na stanowiskach, którzy mogliby mi pomóc, znane jest moje nazwisko. Ale poco oni mieli zadawać sobie najmniejszy choćby trud dla wynalezienia dla mnie pracy? Oni woleli podziwiać

mają energię i spryt, że potrafiłam dotrzeć do nich, bezradnie rozłożyć ręce na moje prośby i... odprawić z kwitkiem.

Moja egzystencja dziś wisi na włosku. Ja nic na to poradzić nie mogę, to jest straszne, mimo że jestem zdrowa, młoda, energiczna i dość wykształcona.

Ostatnia moja prośba: jeśli dawka trucizny jest zbyt mała, aby zabić mnie szybko, to błagam o zadanie mi śmierci. Boję się cierpień fizycznych, jestem przecież tylko człowiekiem.

Halina Włożanka"

Oto przerażający dokument ludzki, który nie wymaga komentarza, a który powinien wielokrotnie przeczytać każdy ekonomista, polityk i działacz społeczny. Jakaż będzie przyszłość Polski, gdy młodzież pisze takie rozpaczliwe listy?

A ileż jest młodzieży w Polsce? Badacz zagadnień ludnościowych prof. Stefan Szulc obliczył, że w Polsce w r. 1929 ukończyło lat 10 osób 456 tys., lat 9 osób 617 tys., lat 8 osób 666 tys. Jeśli przyjąć, że w wieku lat 16-tu młodzież poczyna stawać do walki o pracę, to wszyscy ci, którzy ukończyli w roku 1929 lat 10, kończą w bieżącym roku lat 16, a zatem (po odliczeniu tych, którzy w międzyczasie pomarli) przeszło 400 tysięcy młodzieży zaczęło w r. 1935 poszukiwać zatrudnienia. W r. 1936 ukończą lat 16 wszyscy ci, którzy w r. 1929 ukończyli lat 9, a więc znów około 600 tysięcy młodzieży obciąża rynek pracy. W r. 1937 obciąży rynek pracy 660 tysięcy młodzieży, w r. 1938 — 700 tysięcy, w r. 1939 — 790 tysięcy, w r. 1940 — około 830 tysięty itd.

Uprzytomnijmy sobie dobrze, że w bieżącym roku około 600 tys. młodych ludzi obu płci wchodzi w życie. Część z nich znajduje utrzymanie w domu rodziców, część będzie szukała pracy zarobkowej. Czy znajdzie pracę w dzisiejszych warunkach? Czy znajdzie pracę jutro?

HITLERIANA

Jak się rozwija myśl hitlerowska w związku z zagadnieniami rasy? Oto np. ostatni okólnik ministra spraw wewnętrznych Rzeszy w sprawie Turków, odnosi się do pytania: Czy stosunek Turka z Niemką ma być również uważany za hańbienie rasy, jak taki sam czyn Żyda i Niemki? Otóż nie. Turek może bezkarnie robić to, o czym Żyd nawet marzyć nie śmie. Turcy zostali bowiem uznani przez min. Franka za Aryjczyków, a w każdym razie jeżeli nie z pochodzenia, to drogą upodobnienia. I teraz uzasadnienie: wszystkie narody, mieszkające w Europie przez dosyć długi czas mogą być uważane za Aryjczyków (z upodobnienia). Tak więc wynikałoby z orzeczenia p. ministra, że Żydzi nie mieszkają długo w Europie i przybyli dopiero za czasów panowania Hitlera.

A teraz pewne rozstrzygnięcie niemieckiego Sądu Najwyższego w sprawie zhańbienia rasy. Zdarzył się bowiem taki wypadek, że pociągnięto do odpowiedzialności pewnego Żyda, właśnie z tego paragrafu. Tłumaczył się biedak, że nie hańbił rasy, tylko... z nią flirtował. Wpraw-

dzie ten flirt był bardzo podobny do „hańbienia" czyli, jakbyśmy powiedzieli, do stosunku, niemniej to był tylko flirt, albo używając określenia Van de Veldego, przygrywka erotyczna. Najlepszy dowód, że partnerka okazała się dziewicą. Niemniej skazano obydwoje. Nasz paragraf zainterpretowano w ten sposób, że wprawdzie nie było zupełnie brutalnego wypadku zhańbienia, ale był wypadek naruszenia czci narodu niemieckiego. Odtąd będzie karane nietylko „eine Begattung" (zapłodnienie), ale też „jede begattungsahnliche Handlung", o ile będzie się odbywać między tymi dwoma rasami.

Sąd w miejscowości Heilborn w Niemczech miał do rozstrzygnięcia następującą sprawę: pewna Aryjka, wdowa po Żydzie i dwie jej córki zostały oskarżone o przekroczenie paragrafu ustawy o służbie domowej. Wiadomo bowiem, że Aryjczykom nie wolno służyć u Żydów Otóż owa pani miała służącą chrześcijankę. Dwie jej córki, które poślubiły Żydów, potrzebowały od czasu do czasu pomocy przy wykonywaniu rozmaitych prac domowych. Do tych prac mamusia wysyłała swą aryjską służącą. Takich wypadków było tylko kilka, a godzin pracy niewiele. Mimo to wszystkie trzy, mianowicie wdowa i dwie córki, zostały skazane na kary więzienia.

LISTY

DZIWNA DEKLARACJA

Szanowny Panie Redaktorze!

Mam być w najbliższych dniach świadkiem ślubu dwojga moich przyjaciół. Nie byłoby w tym fakcie nic nadzwyczajnego, gdyby nie pewna okoliczność, poprzedzająca to zdarzenie. Narzeczeni — oboje ludzie inteligentni — ona magister filozofii, on doktor medycyny — różnią się wyznaniem. Ona jest katoliczką, on ewangelik. Od chwili decyzji pojścia razem przez życie ta nieszczęsna różnica wyznaniowa stanowi dla nich ciężki orzech do zgryzienia, przy wszelkich usiłowaniach ustalenia swego bytu. Na wieść o obopólnej decyzji a „innowierstwie" narzeczonego padł w rodzinie jej wyrok: „Wolelibyśmy cię widzieć na marach, niż żoną odszczepieńca, żyjącą z nim bez błogosławieństwa bożego". Tym brakiem „błogosławieństwa bożego" miał być projektowany ślub cywilny.

Cztery długie lata czekania i przekonywania zdołały doprowadzić do ustępstw z jego strony, do zgody na ślub kościelny. Zdawało się, że najtrudniejsze już pokonali. Załatwienie przedwstępnych formalności poszło gładko. Niespodzianka czekała ich właśnie w momencie, gdy sądzili, że wolno im będzie samym o sobie wreszcie decydować. Bo oto kazano obojgu narzeczonym podpisać d e k l a r a c j ę w przedmiocie wychowania ich przyszłego potomstwa. W deklaracji tej musieli zobowiązać się, że dzieci chować będą w wyznaniu rzymsko-katolickim, że ojciec z r z e k a s i ę i n g e r e n c j i w ich religijne kształcenie i że wszelkie ewentualne, w przyszłości wydane lub obowiązujące ustawy cywilne (w znaczeniu: niekościelne), sprzeczne z brzmieniem tejże deklaracji, uważać będą za nieobowiązujące ich, jako z deklaracją niezgodne.

Tak brzmi zobowiązanie dwojga ludzi, którzy chcą założyć rodzinę. Nie mylę się chyba twierdząc, że jest tutaj coś nie w porządku. Bo proszę rozważyć: ona i on, oboje mają wyższe wykształcenie. Oboje godni byli uzyskania tytułów naukowych, on godnym jest noszenia munduru oficera Wojsk Polskich, pełnienia odpowiedzialnych funkcji lekarza — ale niegodnym prawa wychowania własnych dzieci. Godzić się musi z tym, że od pierwszych przebłysków władania umysłem, dzieci jego chowane być winny w nieufności, a może i nienawiści do niego. Bo ojciec ich — to odszczepieniec i innowierca!

Nie zajmując się jednak losem tego ojca, pragnę podnieść jedną ciekawą stronę tej sprawy: przecież narzeczony, jako oficer w czynnej służbie, musiał uzyskać zezwolenie na małżeństwo. Udzielenie takiego zezwolenia ma na celu utrzymanie godności stanu oficerskiego. Czy jednak podpisy-

wanie przez oficera aktu, którym zobowiązany jest do ignorowania pewnych ustaw z tych czy innych powodów mogących się okazać niezgodnymi z treścią tego zobowiązania — odpowiada godności stanu i honoru oficera? Mnie zdaje się, że nie. Sądzę, że rozstrzygnięcie tych wątpliwości byłoby godnym zadaniem instytucji powołanych do obrony honoru lekarza i oficera. Mnie w tej chwili interesuje raczej co innego: patrzę na ciężki konflikt duchowy moich przyjaciół i czuję, co przeżywają. Młode ich, jeszcze w projekcie wspólne życie, otrzymało cios, wbito między nich klin nieufności, niewiary wzajemnej, robiąc z niej strażniczkę zbawienia ich przyszłych dzieci.

Biedne — niepoczęte jeszcze dzieci i biedniejsi — stokroć biedniejsi — rodzice!

Zygmunt Teodorowicz

Od Redakcji

Istotnie w Małopolsce, t. j. dawnej Galicji, w której obowiązują dawne austriackie ustawy i rozporządzenia, ksiądz w razie „małżeństwa mieszanego" wzbrania się udzielać ślubu kościelnego, jeśli małżonkowie nie złożą deklaracji takiej jak wspomniana powyżej przez pana Z. T. Ale żądanie takiej deklaracji ze strony duszpasterza jest **oczywistym naruszeniem obowiązującego prawa.**

Albowiem według przepisu art. 140 austr. kodeksu cywilnego z 1811 roku, do dnia dzisiejszego obowiązującego w dzielnicy poaustriackiej — „przepisy polityczne postanawiają, w jakiej religii należy wychowywać dziecko, którego rodzice wyznają różną religię i w jakim wieku jest dziecko uprawnione do przyjęcia innego wyznania niż to, w którym je wychowano".

W związku z tym przepisem wydaną została ustawa w 1868 r. Nr. 49 austr. Dzpp. o wyznaniu religijnym, z której cytujemy Panu następujące przepisy:

art. 1. ust. 2. brzmi dosłownie: „**W małżeństwach mieszanych** synowie wyznają religię ojca, córki religię matki. Jednak **małżonkowie** mogą przed zawarciem małżeństwa lub po nim ustalić w umowie, że stosunek odwrotny ma zaistnieć albo że wszystkie dzieci mają wyznawać religię ojca, albo wszystkie religię matki".

art. 1. ust. 5. opiewa dosłownie: „**Bez znaczenia są rewersy wydawane przełożonym lub sługom kościoła albo stowarzyszeniu religijnemu, albo też osobom innym, odnośnie do wyznania, w jakim dziecko ma być wychowane i kształcone**".

art. 2. postanawia między innymi, że „rodzice, którzy wedle art. 1. mają prawo na podstawie zawartej umowy oznaczyć wyznanie dziecka, mogą zmienić wyznanie tych dzieci, które nie skończyły jeszcze siódmego roku życia".

art. 3. brzmi dosłownie: „Rodzice i opiekunowie, **tudzież słudzy religijni są odpowiedzialni za dokładne wykonywanie powyższych przepisów. W razie naruszenia ich służy najbliższym krewnym, podobnie jak przełożonym kościołów i stowarzyszeń religijnych, prawo wezwania pomocy władz, które mają sprawę zbadać i wedle ustawy zarządzić**".

art. 4. ust. 1. opiewa dosłownie: „po skończonym czternastym roku życia ma każdy bez względu na płeć wolny wybór wyznania wedle własnego przekonania i w razie potrzeby winny go władze chronić w tym wolnym wyborze".

Z powyższych przepisów ustawy wynika jasno, że ów duszpasterz, o którym pisze pan Z. T. naruszył ustawę, a co najważniejsze, że podpisany przez narzeczonych na jego żądanie rewers, ograniczający rodziców w religijnym wychowaniu i kształceniu dzieci, **nie ma prawnego znaczenia.**



W administracji Życia Świadomego nabyć można:

TREŚĆ I-go NUMERU ŻYCIA ŚWIADOMEGO:

Redakcja — O reformę seksualną; *Boy-Żeleński* — Świadome macierzyństwo, medycyna a lekarze; *Paweł Hulka-Laskowski* — Prolegomena do reformy obyczajów; *Irena Krzywicka* — „Nie loziumie"; *Ludwik Szczepański* — Rewolucja ludnościowa w Niemczech; *Wanda Melcer* — Oszukane matki włoskie; *Dr Emil Schinagel* — Zagadnienie uświadomienia seksualnego; *Dr J. Budzińska-Tylicka* — Powstanie i działalność I-ej w Polsce Poradni Świadomego Macierzyństwa; *Dr Zofia Ślączkowa* — Kilka liczb z Poradni Świadomego Macierzystwa w Krakowie; Iskierka — Rozmówka z księdzem proboszczem; *Maria Knasterowa* — Zagadnienia propagandy; *Doc. U. J. dr Wiktor Ormicki* — W sprawie naukowych podstaw polskiej polityki ludnościowej; *Felicja Stendigowa* — Eugenika i regulacja urodzeń w służbie lepszego jutra; Z półki księgarskiej Echa. Program reformy seksualnej — (Rezolucje Ogólnopolskiego Zjazdu). *Zbigniew Pronaszko* — Dwa oblicza (rysunek).

OD REDAKCJI:

Miło nam jest donieść Czytelnikom, że udało się nam uzyskać do współpracy znakomitego profesora Uniwersytetu Poznańskiego Henryka Ułaszyna, którego studium o prawie małżeńskim zamieszczamy w niniejszym zeszycie.

W następnym (grudniowym) numerze ŻYCIA ŚWIADOMEGO ukaże się m. i. artykuł Haliny Krahelskiej: Źródła przemian obyczajowych.

TREŚĆ II-go NUMERU ŻYCIA ŚWIADOMEGO:

Redakcja — Nad grobem ś. p. dr Budzińskiej-Tylickiej; *Dr Tadeusz Żeleński (Boy)* — Ciuciubabka; *Prof. U. J. dr Odo Bujwid* — O wykłady seksuologii na uniwersytetach; *Ludwik Szczepański* — Jak ta pchła...; *Mieczysław Steinbach* — O nowy kodeks seksualny; *Inż. Henryk Jasieński* — Przyrost ludności w oświetleniu swoich rzeczywistych następstw; *Leon Kruczkowski* — Miłość i własność; *Dr Józef Kirschner* — W osiemdziesiątą rocznicę urodzin Freuda; *Ludwik Szczepański* — Pan Choromański zabawia się w satyryka; *Doc. U. J. dr Wiktor Ormicki* — W sprawie naukowych podstaw polskiej polityki ludnościowej; *Tomasz Karwiński* — Tamara wcina za czterech...; *Quis* — Kontrrewolucja seksualna w Sowietach; Z działalności towarzystw i poradni w Polsce; Z półki księgarskiej; Echa; Listy.

Numery powyższe są do nabycia w administracji ŻYCIA SWIADOMEGO, Kraków, Dunajewskiego l. 7 lub za przesłaniem czekiem P. K. O. 1·— zł pod adresem: Towarzystwo Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów, Kraków — nr 405.424.
